



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 28 sierpnia 1955 r.

Nr 35 (283) Rok VI

TOMASZ MANN

Jak powstał „Doktor Faustus“

Opowieść o powieści

23 maja roku 1943, w niedzielny poranek — ta sama data, kiedy to mój narrator, Serenus Zeitblom, zabrał się do dzieła — zacząłem pisać „Doktora Faustusa“.

W jakim momencie powziąłem decyzję wprowadzenia medium „przyjaciela“ pomiędzy sobą a przedmiotem — to jest postanowiłem nie opowiadać o życiu Adriana Leverkühna sam, lecz kazać opowiedzieć je komuś innemu, a więc napisać nie powieść, lecz biografię wraz ze wszystkimi charakterystykami — nie da się ustalić na podstawie moich ówczesnych notatek.

Co zyskiwałem przez wprowadzenie narratora? Przede wszystkim możliwość rozegrania akcji na dwóch płaszczyznach, możliwość powiązania przeżyć autora, które nim wstrząsały w czasie gdy pisał, polifonicznie z tym co opisywał, a więc — przekazanie drżenia jego ręki spowodowanego wibracjami odległych bomb i wewnętrzna groźba dwuznacznie, a jednak jednoznacznie.

Jakże potrzebna była ta maskarada wobec zadania, którego powagę uświadamiałem sobie — po raz pierwszy — od samego początku! Jeśli poprzednie moje utwory, już choćby ze względu na swe rozmiary, miały charakter monumentalny, to stawało się to niespodzianie i wbrew moim zamierzeniom: „Buddenbrookowie“, „Góra czardziejska“, „Historie Jakubowe“, a także „Lotta w Weimarze“ powstały z bardzo skromnych zamysłów nowelistycznych, i tylko „Buddenbrookowie“ byli zaplanowani jako powieść, a „Lotta w Weimarze“ miała być co najwyżej opowieścią — tak jest napisane na tytułowej karcie rękopisu: „opowieść“. Tym razem po raz pierwszy, przy pracy u schyłku mego życia, stało się inaczej. Ten jeden raz wiedziałem czego chcę i jakie stawiam przed sobą zadania: nie mniejszego, niż powieść mojej epoki, pod płaszczykiem historii nader niepewnego i grzesznego życia artysty. Mimo żądzy nowości nie czułem się dobrze przy tej pracy. Pragnąc dzieła zbyt wielkie, planować je od razu jako wielkie nie było zapewne właściwe — ani dla samego dzieła, ani dla samopoczucia tego, który się go podejmował. Możliwie najwięcej żartu, pomniejszającej patos drwiny z samego siebie — tyle ile tylko można!

Już nazajutrz po rozpoczęciu pracy musiałem spełnić inne, doraźne zadanie: napisać audycję dla radia, w rocznicę spalenia książek w Berlinie. W końcu maja były zaledwie dwie stroniczki manuskryptu gotowe. Ale w czerwcu, chociaż w połowie miesiąca musiałem pojechać z odczytami do San Francisco, co oprócz literackiego przygotowania zabrało mi więcej dni, niżbym sobie życzył, w ciągu tego miesiąca, w którym skończyłem 68 lat, cztery rozdziały „Faustusa“ zostały ukończone. 28 figuruje w dzienniku pierwsza notatka o tej powieści:

„Frankowie na kolacji. Później, w gabinecie odczytałem im pierwsze trzy rozdziały z „Doktora Faustusa“. Byłem bardzo poruszony, a i słuchacze poddawali się wzruszeniu, idącemu od tych kartek.“

*

Praca nad dalszymi czterema rozdziałami przeciągnęła się do września, miesiąca, w którym zostały zajęte Sorrento, Capri, Ischia i opóźniona Sardinia, i w którym rozpoczął się odwrót Niemców w Rosji za linię Dniepru oraz przygotowania do Konferencji Moskiewskiej.

*

Przypominam sobie pewien wieczór, spędzony z Leonhardem Frankiem, który w tym czasie pracował nad subtelną powieścią o kobiecie p. t. „Matylda“ i odczytał nam jej fragmenty. Ku memu zdziwieniu oświadczył przy stole, że jest porwany tym, co słyszał z „Doktora Faustusa“. Jest przekonany, że żadnej mojej książki nie będzie tak lubił jak tej. Poruszyła go aż do dna całej jego istoty. Zrozumiałem dobrze, o co chodzi. Socjalista z przekonania i wielbiciel Rosji był równocześnie przepełniony nowym uczuciem dla Niemiec i nienaruszalności ich jedności. Jego emocjonalna reakcja na „Faustusa“ była mi przyjemna, ale zarazem pobudziła mnie do zastanowienia — stała się jakby ostrzeżeniem — przed niebezpieczeństwem, iż moja powieść może dopomóc w kreowa-

niu nowego niemieckiego mitu, schlebaniu Niemcom ich „demonicznością“. Z pochwałą kolegi wyciągnąłem przestrożkę ku zachowaniu ostrożności i ku temu, ażeby w samej rzeczy bardzo niemiecko podbarwiona tematyka rozplynęła się w ogólnie-epokowej i europejskiej. A jednak nie mogłem się powstrzymać, ażeby wyrazić „niemiecki“ nie użyć w podtytuł! W czasach, o których piszę, tytuł był jeszcze niewykonywany i nieco umiarkowany: „Dziwny żywot Adriana Leverkühna, opowiedziany przez jego przyjaciela“. W rok później zamiast bezbarwnego „dziwny“ ukazało się „niemieckiego kompozytora“.

*

W początkach grudnia udaliśmy się na Srodkowy Zachód, najpierw do Cincinnati, gdzie zobowiązałem się do wykładów na uniwersytecie, potem wśród niewygód wojennych, do St. Louis i do Kansas City. W tym czasie lektura moja w pociągach i pokojach hotelowych uzależniona była od cenniejszego czy luźniejszego „powiązania“ z tematem. Nic innego nie obchodziło mnie, nie mogło mnie przykuć — wyjąwszy, o ile można to nazwać wyjątkiem, komunikaty prasowe o wydarzeniach dnia, które były równo sprawą Serenusa Zeitbloma jak i moją: Konferencja Moskiewska, w której brali udział Hull, Eden i Molotow i w odpowiedzi na nią gwałtownie zwoltywane zebrania u marszałka Keitla. Tom frańszek z XVI wieku towarzyszył mi — gdyż moje opowiadanie jedną nogą stało w tej właśnie epoce, trzeba było tu i ówdzie dodać kolorytu językowego, i w wolnych chwilach zajmowałem się wyszukiwaniem staroniemieckich słówek i zwrotów.

*

Czytałem dramat Marlowe'a) „Życie i śmierć Dr Fausta“, i niemiecką książkę o Riemenschneiderze) z czasów wojen chłopskich. Dobrze jest czuć kontakt z wielką epiką, jak gdyby skąpać się w jej sile, kiedy podjęło się samemu poważne zadanie pisarskie. Czytałem więc Jeremiasza Gotthelfa), którego „Czarny pajak“ wywołuje we mnie podziw jak rzadko które dzieło literatury światowej, czytałem jego także często zatrącającego o homeryckość „Parobka Uli“ i o wiele blejszy epilog tegoż — „Dzierżawę Uli“.

*

Podczas pracy nad rozdziałem XIV zaszło pewno godne pamięci literackie wydarzenie, które przez pewien czas zainteresowało mnie jak najbardziej osobicie. Ze Szwajcarii przysłyli dwa tomy Hermann Hessego) pt. „Glasperlenspiel“.

) Marlowe Christopher, poeta i dramaturg angielski, 1564—1593.

) Riemenschneider Tilman, rzeźbiarz i snyczer, mistrz późnego niemieckiego gotyku, 1460—1531.

) Gotthelf Jeremiasz, pseudonim szwajcarskiego pisarza ludowego Alberta Bitziusa, 1797—1854.

) Hesse Hermann, pisarz współczesny, ur. 1877. Najbardziej znane powieści „Narcyz i Złotousty“, „Wilk stepowy“.

Po wielu latach pracy przyjaciel mój w odległej Montagnoli ukończył trudne i piękne dzieło, z którego dotychczas znałem tylko duży wstęp, drukowany w czasopiśmie „Nere Rundschau“. Często mawiałem, że ta proza jest mi tak bliska, jak gdyby to był fragment czegoś „mojego“. Po zapoznaniu się z całością byłem niemal przerażony powinowactwem z tym, co mnie tak pilnie zaprzętało. Ten sam pomysł fikcyjnej biografii — z domieszką parodii, jaką forma ta wnosi ze sobą. Ten sam związek z muzyką. Taka sama krytyka kultury i epoki, chociaż tam więcej utopijnych rojeń i filozofowania niż krytycznych wybuchów i stwierdzeń naszej tragedii. Podobieństw dość dużo — zaskakująco dużo, i notatka w dzienniku: „Gdy nam ktoś przypomina, że nie jesteśmy na świecie sami, zawsze jest niemiło“ — odzwierciedla tę stronę moich odczuć bez osłonek.

*

Niedawno ukazało się niemieckie wydanie „Opowieści Józefowych“ i Bermann zaopatrzył mnie w całe mnóstwo szwajcarskich omówień tej książki, pro i contra. Taka masowa konsumpcja publicznych wypowiedzi na temat książki dawno już odołanej przypawia o zamęt, jest podniecająca i jak najbardziej jałowa. Z wdzięcznością oczywiście za dobre, rozumne słowa, które padają tu i ówdzie w ocenie aż za dobrze znanych wartości i ułomności książki, człowiek wstydzi się pożądlivosti, z jaką ulega niezdrowej satysfakcji, i tylko budzi się w nim jeszcze silniejsze pragnienie zaznania czegoś nowego. Poszedłem za wołaniem Szekspira, przeczytałem „Miarę za miarą“, później Flauberta „Kuszenie św. Antoniego“ — dziwiąc się polihisterycznemu nihilizmowi wspaniałego utworu, który w gruncie rzeczy jest tylko fantastycznym katalogiem wszelkiej ludzkiej głupoty. „Szaleństwo świata religijnego przedstawione bez żadnych luk — a na zakończenie oblicze Chrystusa? Dziwne.“ Wizje diabelskie Iwana Karamazowa należały również do mojej lektury w owym czasie.

*

Przeczytałem „Historię trzynastu“ Balzaka, z mieszanymi uczuciami, jak zawsze w zetknięciu z Balzakiem: czasem porwany jego wielkością, czasem rozdrażniony jego reakcyjną krytyką społeczną, katolickim wywracaniem oczu, romantycznym sentymentalizmem i rozdmuchaną przesadą.

*

Georg Lukacs opublikował w dniu mego 70-lecia artykuł w czasopiśmie „Internationale Literatur“. Ten komunista, któremu „spuścina burżuazyna“ leży na sercu i który potrafi pisać ze zrozumieniem o Raabem, Kellerze i Fontanem, już wspominał o mnie w serii artykułów na temat literatury niemieckiej w okresie imperializmu rozumnie i z szacunkiem; posiada



on niezbędnie potrzebną krytykowi zdolność rozróżniania między myśleniem a istnieniem (czy też z istnienia zrodzonym postępowaniem) i brania jednego a nie drugiego za dobrą monetę. To co myślałem mając lat czterdzieści nie przeszkadza mu z całą stanowczością zestawiać mnie z moim bratem Henrykiem i twierdzić: „Podanego“ Henryka Manna i „Śmierć w Wenecji“ Tomasza Manna można uważać już za prekursorów owej tendencji,

k którzy sygnalizowali niebezpieczeństwo barbarzyńskiego podziemia w łonie współczesnej niemieckiej cywilizacji, jako jej nieodzownego produktu ubocznego.“ W ten sposób już z góry została wskazana łączność między nowelą wenecką a „Faustusem“. I tak jest dobrze, gdyż pojęcie „sygnalizowania“ w każdej literaturze i literaturoznawstwie jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi.

Essay Lukacsa „W poszukiwaniu

obywatela“ stanowi socjologiczno-psychologiczny wizerunek mojej pracy i egzystencji w tak wielkim stylu, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczyłem, wzbudza więc we mnie uczucie poważnej wdzięczności — tym bardziej, iż autor ujmował moją osobę nie tylko z punktu widzenia „historycznego“, lecz w związku z przyszłością Niemiec. Dziwne tylko, że w życiowej ocenie „Historie Jakubowe“ były konsekwentnie opuszczane, omijane.

*

JULIAN PRZYBOS

DWA WIERSZE

1.

Zimą mroczną, bezdzienną, czarną od chmur zimą,
włokłem się, senny,
ociemniały z tęsknoty,
z dymów
ku dymom
rozwołczonym nocnymi pociągami — w mroku
z czerwonymi iskierkami z lokomotyw —
zimą, długim tunelem ku tobie, wiosennej —

Niezliczonymi odjazdami dłużej
czas, tę ruchomości opuszczonej nocy,
czekałem na wybuch —
wiatr skręcał z dymu i rozplatał powrót,
lont gasnący —

Słońce
wysadziło z ciemności twój pokój!

Jakby piorun po piorunie bił w to miejsce
zestrzeliłem w jedno przestrzeń
w błyskawicznym zatrasku wzdłuż torów!
Dojechałem do ciebie z pierwszą burzą.

2.

I znów od twoich oczu promieniami przestrzeni
po rozjarzony słońcami Adriatyk
niesie mnie — w tęży śmigła!
Ach, do ciebie w westchnieniu to wszystko powietrze
wysyłane przez kwiaty...
(gdybyś tu ze mną była!)
...przez kwiaty pomarańczy!

Tu, gdzie krajobraz ze światłem tak złotym,
jakby je Tycjan dzień w dzień błogosławił
wszystkimi obrazami naraz.

Wyteżyłem tęsknotę
jak radar
i odkryłem cię we mgle Warszawy:
trzymasz w ręce słońce i pszczołę.

Jaką lotną pocztą światło nadać,
abyś rozjaśniła czoło?

W promieniach obcej sławy
mijam
Piazza della Signoria
— czy widzisz mnie, miła, czy słyszysz? —
szczęśliwy, że byłbym szczęśliwszy,
gdybyś tu ze mną była.

Pomyślna wiadomość przyszła z Niemiec: na temat „Lotty w Weimarze“ ogłoszono w Domu Goethego, pod protektorem radzieckim, szereg odczytów, które — o ile jestem dobrze poinformowany — wzbudziły silne zainteresowanie. To wydarzenie poruszyło mnie głęboko. Miało ono zresztą i dość zabawny odpowiednik, o czym dowiedziałem się później. Podczas wojny pojedyncze egzemplarze tej powieści, przemycane ze Szwajcarii, kursowały po Niemczech, i ci, co nienawidzili reżimu, z wielkiego monologu w siódmym rozdziale, w którym to co autentyczne i dokumentarne przemianuje jest nie do rozróżnienia z apokryfami, mimo iż pod względem językowym i treściowym dobrze dopasowanymi, wybrali sentencje najbliższe charakterowi Niemiec i zawierające złowieszcze przepowiednie, odbili na powielaczach jako ulotkę pod mylącym tytułem „Z rozmów Goethego z Riemerem“ i rozpowszechnili między ludźmi. Jedną z odbitek czy też tłumaczenie tego osobiście fałszyfiku zosłał przedłożone angielskiemu prokuratorowi w procesie norymberskim, Sir Hartlewoi Shawcrossowi, który, w dobrej wierze, wiedziony uderzającą aktualnością tych wypowiedzi cytował je oficjalnie w swym przemówieniu oskarżycielskim. W „Literary Supplement“ londyńskiego „Timesa“ ukazał się

(Dokończenie na str. 2)

SALOMON ŁASTIK

O hotelach robotniczych — bez osłonek (1)

O hotelach robotniczych i Domach Młodego Robotnika mówi się u nas wiele, rozmaicie i na ogół niechętnie. Przeważa opinia, że Hotele — to siedlisko rozpusty. Pewien języczek uważający się za szermierza dawnych do- brych obyczajów głosi, że z Hotelu wywodzi się chuliganeria, biki- niarstwo i wszystkie grzechy główne, nawet w dekalogu nie przewidziane...

Niestety, także z wynurzeń nie- których kierowników Hotelu odno- siłem wrażenie, że mieszkająca tam młodzież, to przeważnie potencjalni czy faktyczni przestępcy, na któ- rych jest jeden jedyny środek: trzy- mać ostro!

Jakże się to dzieje, że zarówno najrozmaitsze dystygnowane „pa- nie z zasadami”, „zatroskami” panowie, jak ludzie w istocie odpowiedzialni za oblicze moralne mieszkańców znajdujących się pod ich pieczą, na- rzekają i obrzucają błotem mło- dzież? Jakże się to dzieje, że oso- bom tym nie brak dewotów, że nie mówią głośnie, że twierdzenia ich mają pokrycie w faktach?

Nie chodzi mi o to, by im wyka- zać, że nie mają racji, że w każdym Hotelu (a zwiędziłem ich sporo i w Warszawie, i w prowincji) zawsze przeważająca większość młodzieży żyje i pracuje uczciwie, rennie i roz- wiąże się duchowo, krzepnie moral- nie, zawodowo, społecznie. Nie, nie zamierzam dowodzić rzeczy oczy- wistych. Wystarczy zarekomendo- wać pogawędkę z młodymi inżynie- rami mieszkającymi w hotelu Me- trobudowy, z robotnikami i techni- kami z baru na Anielewicz w Warszawie, mieszkankami DMR-u Stocznio w Szczecinie, z włók- niarkami Łodzi i Bielan, by się przekonać, jak wiele mamy serdecz- nej, cennej, wartościowej mło- dzieży. Dużo złego słyszałem o dziewczętach z Hotelu na Ogrodowej w Warszawie. Jako dość czysty bywał w „państwie pana Bożka”, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że tylko drobny odsetek dziewcząt prowadzi tryb życia na- ganną, świadczący o zatruceniu przez nie poczucia wstydu i pozna- nowania godności własnej.

Gdy piszę te słowa, stoją mi przed oczami pełne troski twarze młodych, spragnionych własnego za- cieżnego kąta, poszukujących czło- wieka, który by im w truchłościach życiowych poradził, życia i spraw ludzkich nauczył, który by rozma- wiał z nimi jak brat, jak ojciec, jak starszy doświadczony kolega. Młodzież ta ze smutkiem twierdzi, że nie widzi żadnej możliwości za- łożenia rodziny...

Niel Nie ma zły młodzieży. Twierdzą to z całą świadomością. Są żli i bezduszni administratorzy, są bez troski odnoszące się do swo- ich obowiązków dyrekcje.

Jeżeli fakty dnia powszedniego dezawuuja częściowo prawiczo- mego twierdzenia (bo co tu ukry- wać! nie brak wypadków pijanstwa i chuligańskich wyburzeń, kradzie- ży i rozwodzenia moralnego wśród młodzieży hotelowej) — jestem prze- konany, że fakty te obarczają prze- de wszystkim tych, których zadani- em było wprowadzić te młodzież w krag zainteresowań kulturalnych, wpajać jej zasady kulturalnego ob- cowania w kolektywie, uwrażliwić ją na piękno, dać godziwą rozryw- kę. A co jej dano? Jeśli idzie o większość Hotelu warszawskich — nic! Puszczono ją samopas. Prze- cież w pierwszych latach Hotele te były pozbawione opieki nawet ze

strony administracji i można było sprowadzać dziewczyny czy iść bez przeszkód do pokoi dziewczęcych, upiając się i deboszować ile dusza zapagnie! I jeśli burdy pijackie były na porządku dziennym — od- powiedzialność spada na tych, któ- rzy sprowadzając do miast i osiedli robotniczych tysiące młodzieży wiejskiej nie zrozumieli, że gdy się uwalnia chłopców i dziewczęta od „kurateli” rodzicielskiej, gdy się młodych usamodzielnia materialnie, trzeba stworzyć atmosferę wychowawczą, otoczyć młodzież czujną o- pieką, gdyż inaczej zacznie zabijać czas wolny od pracy przy kieliszku, urządzając awantury. Czego się mieli wstydzić? Żyć, nie umierać! Raj na ziemi! Można hulać ile dusza zapagnie! Przecież nikt się na- mi nie interesuje...

A gdy się zainteresowano — po- stanowiono ukroczyć zio drogą naj- łatwiejszą: administracyjną. Powstał regulamin dla Hotelu i Domów Młodego Robotnika, zabraniający wstępu obcym, niezależnie od tego, czy to babcie ojciec czy matka, brat czy siostra, narzeczona czy znajoma, kolega czy koleżanka. Wszystkimi!

Powstał regulamin grozący usu- nięciem z Hotelu za niewłaściwe zachowanie się, za niemoralny tryb życia, za przychodzenie po godzi- nie 11-ej!

A więc, na początku wstęp był umożliwiony wszystkim, teraz — nikomu, przedtem zupełnie beztro- sko odnoszono się do spraw wychowawczych, obyczajowych, moral- nych, teraz — sprawami tymi za- interesowano się w sposób swoisty: postanowiono uczyć, wychowywać, umoralniać za pomocą gróźb i za- rządzeń administracyjnych. Umo- ralnianie za pomocą zakazów przy- brało takie rozmiary, że np. dzie- wczęta, które wracały w roku 1954 po 11 wieczorem, w ogóle nie by- ły wpuszczone do Hotelu. Koleżanki wyrzucały im wówczas koce a one spały na budowie albo chodzi- ły na dworzec... Tak to wyglądało w hotelu ZBM2 BOR!

O tym co utrudnia życie i o nieżyczliwych przepisach

Oisnęło mnie, gdy wszedłem do hotelu Metrobudowy na Stalingra- dzkiej 10! Jakże estetycznie i czys- to wyglądały korytarze, jakie wa- bi tuż obok wejścia świetlica, z balkonem, z masywnymi kolumna- mi (a jakże!). Co prawda, tańczyły tam wtedy zaledwie trzy pary, co prawda, czystość w świetlicy nie była zachwycająca, ale pomyśla- łem: trudno, w ciągu wieczora prze- wijają się tu pewnie tyle młodzieży, że nie można żądać idealnej czysto- ści. Przecież idealna czystość wie- lu Czerwonych Kąciaków w Nowej Hucie jest dowodem ich martwo- ty. Nie, wolę mniej zewnętrznej po- loru a więcej młodzieży w świet- licy. Ale niebawem przekonałem się, że mimo sporego personelu brud jest tu rzeczą normalną, a co się tyczy systematycznej pracy roz- rywkowo-wychowawczej — nie by- ło jej tu i nie ma. Świetlica ta ma już ponadto w swoich dziejach stronie niepochole, gorszące.

A luksusowy hall z chodnikami, lampy ozdobione pięknymi abażu- rami, rzucające dyskretne światło, a pokoje przeznaczone najwyżej dla trzech osób? Cóż, wskazuje to tylko jak bardzo Partia i Rząd troszczą się o to, by stworzyć ro- botnikom odpowiednie warunki ży-

cia, atmosferę dobrze zagospodaro- wanego domu, który się kocha i szanuje. Ale najlepsze warunki o- biektywne, lokalowe, nie są w sta- nie oprzeć się biurokratom z Mini- sterstwa Budownictwa Przemysło- wego, którzy czynią wszystko, by mieszkankom Hotel obrzydzić...

W Hotelu noszącym nazwę „Me- trobudowy” mieszka około 700 me- szczyzn. Co najmniej 70% to pracow- nicy różnych warszawskich insty- tucji (samych nauczycieli jest tam 70), opłacający do 150 złotych mie- sięcznie. Są to absolwenci z naka- zem pracy albo przeniesieni służ- bowo do Warszawy uchwałą Rza- du. Mieszkają tam i tacy, którym się należy mieszkanie i którzy cze- kają na przydział.

I oto ludzom tym zabrania się wprowadzać gości, niezależnie od tego, czy jest to siostra czy żona. Przyjmowanie gości może się od- bywać tylko w świetlicy. W poko- jach zimowa pora jest zimna, gdyż dwa kotły nie mogą ogrzać tak ol- brzymiego gmachu, trzeci kotłowiec uszkodzony w lecie 1954 roku do- tychczas nie został naprawiony. Kucharki gazowe służące do goto- wania posiłków zostały w grudniu zabrane a na ich miejsce wmonto- wano po trzy kucharki przysięcne, przeważnie zepsute. Obecnie przy gotowaniu tworzą się kolejki. Większość natrasków jest zepsu- ła od czasu przebudowy hotelu. Część ubikacji jest zabita gwoździakami, a w niezabitych bez przerwy leje się woda nie tylko do miski lecz i na głowę.

By uchronić lokatorów przed kradzieżami, zorganizowano depozyt, ale czy można oddawać ubranie, radio, książki do depozytu? Zresz- ta depozyt jest czynny wyłącznie w godzinach pracy. Przy Hotelu jest pralnia OZR, która przyjmuje bie- liznę w godz. 7—15, a więc znowu wtedy, gdy wszyscy są przy pracy. Wymieniłem część bolączek omó- wionych na ogólnym zebraniu mie- szkańców w dniu 21 XII 54 r., na którym byli obecni przedstawiciele ZBI Metrobudowa z kierownikiem „socjalno - bytowym”, ob. Kuj- szczykiem, przedstawicielem Oddz. Z. Z. Jak zwykle na zebraniach, przyręczono usunąć usterki i wy- brano Radę Hotelową.

Po jakimś czasie odbyło się ze- branie Rady Hotelowej, na którym obecni byli: przedstawiciel Mini- sterstwa Budownictwa Przemysło- wego ob. Okrętowa, przedstawiciel Centralnego Zarządu Wodno-Inży- niernieckiego ob. Matyszek, przed- stawiciel ZBI ob. Kujszczyk i przed- stawiciel OZR.

Oto niektóre wypowiedzi człon- ków Rady Hotelowej:

Do inż. M. przyjechała siostra spoza Warszawy (około 120 km). Zwrócił się on do kierownika Ho- telu przedstawiając mu dowód oso- bisty siostry, z prośbą by zezwolił jej na półgodzinny pobyt w jego pokoju w celu umycia się i krótko- lego odpoczynku po podróży. O- trzymał odpowiedź odmowną.

Inż. Z. S. ma młodszą siostrę na Politechnice Warszawskiej. Ponie- waż pracą zawodową i społeczną nie pozwala mu na częste odwie- dzanie siostry wymagającej pomo- cy w nauce, zwrócił się z prośbą by zezwolono jej na wstęp do jego pokoju. Otrzymał odpowiedź od- mowną...

Czy ten rygorystyczny zakaz o- bowiazuje wszystkich? Jak twier- dzą mieszkanki Hotelu, są cwania- cy, którzy jakoś potrafili się dogad- zać z „cerberami” i sprowadzają nie siostry i nie żony, lecz po prostu partnerki „przelotnej miłości”.

Ponieważ taki stan jest powo- dem rozgorzczenia, ponieważ każ- dy fakt omijania regulaminu przez jednych (i dla jednych) a rygor- stycznego trzymania się go wzgł- edem innych nie może stworzyć kli- matu spokoju i szacunku, ponie- waż stan taki zamienia Hotel w klasztor, albo — jak obrazowo wy- razili się pewna robotnica z Hotelu na Ogrodowej — „trzeba tylko wy- budować wieżę z cegieł i postawić strażników a będzie prawdziwa Ge- siówka”... Rada Hotelowa „Me- trobudowy” odważyła się przyjąć z projektami zmiany regulaminu do- tyczącego wprowadzania gości na teren Hotelu.

Oto jego brzmienie: „Mieszkanki hotelu mają prawo przyjmowania gości w swoich po- kojach do godziny 22-ej.

a) gość musi być wprowadzony przez mieszkankę hotelu po uprzed- nim zostawieniu w portierni legity- macji hotelowej i legitymacji oso- by wprowadzanej, jak też wpisa- niu się do książki kontrolnej odwie- dzających;

b) gość musi być odprowadzony do portiera przez odwiedzaną mieszkankę hotelu;

c) całkowita odpowiedzialność za osobę wprowadzoną ponosi miesz- kanka hotelu.

Na najbliższym zebraniu rodzi- ni mieszkanki hotelu mogą korzystać z pokoi gościnnych po uprzednim porozumieniu się z kierownictwem hotelu (3 dni przed przyjazdem krewnego).

Pobyt w pokoju gościnnym nie może trwać dłużej niż 3 dni”.

Osoby „miarodajne”, w szczegól- ności ob. Okrętowa z Mln. Bud. Przemysłowego uważały projekto- wane zmiany za niebezpieczne i zgody nie dały. Ponieważ Rada Ho- telowa uważała, że praca jej nie ma sensu, skoro nie potrafiła przezo-

rować swoich wniosków, ustąpiła i oddała Radę Hotelową miarupie się komisarzynie.

Po co przytoczyłem powyższe fakty? Czy rzeczywiście jest to sprawa tak ważna by zaprztać u- wagę czytelnika problemami doty- czącymi mieszkańców hoteli robo- tniczych? Wydaje mi się, że tak. Nie idzie tu o takie czy inne niesusz- ne posunięcie, o ten czy ów niezły- ciowy przepis. Jest ich niestety wię- cej, są sprawy bardziej jeszcze bo- lesne. Przytoczony fakt świadczy, w jaki sposób przystąpiono u nas do uzdrawienia stosunków, do u- moralniania mieszkańców.

Mówmy otwarcie. Czy nie było młodzieży płci męskiej i żeńskiej, która uważała za stosowne prze- kształcić Hotel Robotniczy w jakieś miejsce schadzki? Było sporo ta- kiej młodzieży. Cóż należało zrobić? Z danie Rady Hotelowej, Kierow- nictwa, pracowników KO, organiza- cji ZMP-owskiej było przeprowa- dzić pracę uświadamiającą, na- wiać o stroni obyczajowej sprawy „miłości”, szczerze i otwarcie porozmawiać z tym czy ową, w na- jgorszym wypadku napiętnować na- ruszycieli dobrych obyczajów i a ogólnym zebraniu, gdzie sprawy te zostałyby z całą otwartością posta- wione. Wpłynęłoby to wychowa- czo na młodzież słabą, zmusiłoby do zastanowienia się młodzież o nie- czystym trybie życia. Gdyby i te środki nie odniosły skutku, można by za notoryczne łamanie zasad współżycia w kolektywie ukarać da- ną osobę zakazem przyjmowania gości przez jakiś okres czasu.

Ale jest to droga trudna. Jest to droga pracy w c h o w a w c e j, droga kłopotliwa, wyma- gająca czasu i troski ze strony „cia- ła kierowniczego”. A po coż takie zwracanie głowy? Jest przecież prosta droga: zakaz wstępu na te- ren Hotelu dla wszystkich bez wy- jątku. I poszło się tą najłatwiejszą drogą. A skutki? Młodzież przez to lepszą nie stała. To na co w sposób dyskretny pozwalała sobie w pokojach hotelowych, teraz robi w ruinach i krzakach, ściągając na mieszkanki — a raczej mieszkanki hotelu, w s z y s t k i e m i e s z k a n k i — opinie rozpustnic, co w żadnym mierze nie odpowiada rze- czywistości. Doszło do tego, że dziewczęta wstydzą się powiedzieć, że mieszkają w Hotelu Robotni- czym.

Tak. Byliśmy dumni, że władza ludowa stworzyła robotnikom na- bardziej nowoczesne warunki ży- cia, że dała im wszelkie wygody. A doszło do tego, że młodzież wstydzi się przyznać, że mieszka w Hotelu...

Na tematy meldunkowe

Gdy przyszedłem do Hotelu Ko- biecego na Ogrodowej, byłem świad- kiem takiej sceny: R. W., 24-letnia dziewczyna pracująca już od 6 lat w Warszawie, nie należy do osób, które w mieście nauczyły się tego co najlepsze. Wręcz odwrotnie. Moż- na śmiało twierdzić, że raczej zo- stała tu moralnie zwichnięta. Przy- chodziła w latach, gdy brak było wszelkiej epiki. Toteż zadawała się z chłopcami lubiącymi wypić, póź- no wracała do Hotelu lub w ogóle tu nie nocowała. Z biegiem lat co- ści się w niej odmieniło. To, że w Ho- telu zwraca się obecnie, chociażby w formie administracyjnej, uwagę na zachowanie, widok i ilość dzie- wcząt ciężarnych — wszystko to wpłynęło na nią orzeźwiająco. W każdym razie nie było ostatnio nic takiego co by wymagało specjalnej ingerencji.

I oto już na schodach, wciąganych do kancelarii kierownika Hotelu u- słyszałem lamentujący głos kobiety. Była to właśnie R. W. O coż cho- dziło? Ma ona zameldowanie okre- sowe do listopada, a w kwietniu naczelnik od spraw meldunkowych, ob. Bożek, dał jej 3-dniowy ter- min na opuszczenie Hotelu, gdyż została wymeldowana! Dlaczego? Kto spowodował tę decyzję? Tego nikt nie powie i nikt z lokatorów się nie dowie. Może zaczęła się go- rzej zachowywać? Nie! Jak oświad- czyli lokatorki, w ostatnim okresie R. W. raczej się poprawiła.

Zainteresowałem się tą sprawą. Zaczęłem się dopytywać, penetro- wać, grzebać i dowiedziałem się, że los lokatorów na Anielewicz (ba- rak męski) i na Ogrodowej (nowo- czesnie urządzony Hotel Kobiec) jest w pełni zależny od decyzji na- czelnika socjalno - bytowego, ob. Bożka. Może on z miejsca spowo- dować zwolnienie z pracy i wysied- lenie z Hotelu każdego, kto mu z jakichś względów nie będzie odpo- wiadał.

Interweniowałem. A oto skutek mojej interwencji. Za następną mo- ją bytnością kierowniczka Hotelu oświadczyła mi, że R. W. polecono złożyć podanie i obiecano jej spa- cę załatwić. Ucieszyłem się. Bo coż robi dziewczyna o nienajmoc- niejszym bądź co bądź kregostupie moralnym jeśli się ją wyrzuci na bruk? Jej sześcioletni ojciec w Mińsku Mazowieckim nie da jej na utrzymanie, ona też nie ma tam co robić, brat znajdujący się w wo- jsku również jej nie pomoże — gro- ziłoby jej prawopodobnie zejście na śliską drogę.

Radość moja nie trwała jednak długo. Gdy następnym razem przy- szedłem do Hotelu, kierownicza

oświadczyła mi w imieniu ob. Bo- żka, że moje zezwolenie ze Związku Zawodowego Pracowników Budow- lanych jest niewystarczające, że mu- szę dostać specjalne zezwolenie na zwiedzanie Hotelu, i dodała: „A z pańską R. W. sprawa nie wygląda tak różowo. Rada Hotelowa posta- nowiła wyrzucić ją z hotelu za nie- moralne prowadzenie się...”

Ponoć przylapano ją nad ranem stojącą w bramie świetlicy w zbyt czulej pozie z wojskowym. Tak oświadczyła jedna ze starych (sta- ła i wiekiem) lokatorek należących do armii przybocznej Administracji...

— Cóż — powiedziałem — wyrzu- cenie z Hotelu to świetna droga do pełnego umoralnienia dziewczyny!...

Trzeba wiedzieć, że w Hotelu, szczególnie kobiecym, jest jak w małym miasteczku. Każda nowość rozchodzi się z szybkością ponad- dziesiętkową. Nic dziwnego więc, że na korytarzach i schodach wszyst- kich pięt komentowano gorąco sprawę R. W. i gdy wyszedłem z kancelarii, otoczono mnie i zasypa- no pytaniami.

— Dlaczego — pytała jedna — gdy nas werbowano do pracy, to obiecywano złote góry, a teraz ocie- niają się do nas jak do śmieci, któ- re można każdej chwili wyrzucić!

— Dlaczego nas gnębią tymczaso- wym i okresowym zameldowaniem? — pytała druga. — Przecież żyje- my w stałej niepewności, bo nigdy nie wiadomo, czy panu naczelniko- wi nie wpadnie do głowy zażądać dowodu osobistego, spowodować zwolnienie z pracy i wymeldować. On to potrafi!... Niejednokrotnie wymeldowano dziewczynę, która ośmieliła się skrytykować istniejące porządki!

— Przecież cośżo niemal do bun- tu lokatorów — opowiada trzecia — gdy tuż przed wyborami do Rad Narodowych pan Bożek zarządził składanie dowodów osobistych do Administracji celem przemeldowa- nia. Żeby wszystkim mającym sta- ły pobyt w Warszawie zamienić go na okresowy. Cóż — mówili loka- torki — mamy głosować za Radą Narodową, która chce nas wyku- rzyc z Warszawy?

— Panie, dlaczego nas oszukują? Dlaczego fałszują dokumenty? Dia- czego nam spokoju nie dają? Pro- szę obejrzeć mój dowód osobisty! Nigdy się nie wymeldowywałam, a mam cztery nowe meldunki doko- nane w ciągu jednego dnia, cztery fałszywe meldunki! Bo chcą mnie wyrzucić z miasta, bo chcą mnie zgniebić!

— Kto? — zapylałem.

— Czy ja wiem? Ale gdyby nie mieli złych zamiarów względem mnie, nie naapekanoby tyle do do- wodu osobistego.

Biorę dowód osobisty do ręki. Czytam: Zosin Marianna, urodz. 13 VIII 1909 r., Warszawa. Patrzę na stroniczkę zameldowań. Pieczętka: pobyt stały I III 1954 r. i obok: wymeldowana I III 1954 r. do Rem- bertowa; z lewej strony: pobyt Ogrod. 28/32 4 V 1954 r. wymeldo- wana do Rembertowa 25 III 1955 r. i ostatnia pieczętka: Okresowo — do I listopada 1955 r. Data zamel- dowania 25 III 1955 r. Przyjrzyjcie się tym nieudolnie zestawionym da- tami, a zrozumiecie cały hebens sy- stem istniejącego w królestwie „b. Bożka. Tego samego dnia, w któ- rym dostała dowód osobisty, wyje- chała do Rembertowa, tego samego dnia gdy „powtórnie” wyjechała do Rembertowa, przeskokczyła ze stałe- go na okresowe zameldowanie...

A w istocie wszystkie cztery za- meldowania zrobiono w jednym dniu 25 marca 1955 r. a w istocie jej tak długie wyjazdy do Rember- towa są fikcją, gdyż w paszporcie jest adnotacja ZBM2(BOR) W-wa, Nowolipki 52, z datą przyjęcia do pracy I XII 1953 r., gdzie bez przerwy pracuje jako sprzątaczką.

Zapytuje: do czego prowadzi taka polityka meldunkowa? Komu, jeśli nie wrogiej propagandzie, daje ona pożytkę? Jak wiadomo, we wszyst- kich innych miastach przemysło- wych nie ma tej kwestii z zameldo- waniem, wszyscy lokatorki Hotelu i DMR-ów mają tam stałe zamie- skanie. Dlaczego w Warszawie ma być inaczej? Nie widzę powodu.

Ponieważ sprawę meldunkową są- tarenem bardzo bolesnych doznań młodzieży hotelowej, przytoczę jesz- cze jeden fakt, który się wydarzył we wspomnianym już Hotelu na Stalingradzkiej 10. W związku z „czasowym” i „okresowym” zamel- dowaniem, mieszkanki Hotelu Ro- botniczych są zobowiązani co kilka miesięcy przedstawiać Administra- cji zaświadczenia z miejsc pracy. Inż. Leszczyszyn jednak zaświad- czenia na czas nie dostarczał. Dy- rekcja ZBI poleciła wykwaterować go z Hotelu. Wtedy to dobrani z R. H. komisarzynie pomagierzy, wraz z kierownikami hotelu ob. Jani- kim, zabrali się do wypełniania tej złozonej pracy. Leszczyszyn był wów- czas chory. Nie zważając na to wy- ciągnięto i zabrano spod niego ma- terac...

I tu powstaje pytanie: po co by- ły potrzebne ograniczenia warszaw- skie? Chyba po to, by uwolnić przeciążone miasto z elementu zbę- dnego i po to, by miasto przyjmowało na mieszkanki osoby niezbędne dla gospodarki, przemysłu, kultury. Co należało zrobić z elementem dla Warszawy zbędnym? Przeprowa- dzić rzetelną pracę wyjaśniającą, zaproponować ludziom różne miej- scowości, gdzie są potrzebni i cze- ka-

kiwani, gdzie będą mieli dobre wa- runki pracy i pobytu. Ale i tu po- szło się drogą formalną. Do czego to doprowadziło? Ten kto się przy- padkowo zameldował na stałe pięć tygodni przed ukazaniem się zarzą- dzenia o prawie przebywania w Warszawie, dostał normalny stały meldunek warszawski — ci, którzy nie przywiązywali wagi do sprawy czasowego czy stałego zameldowa- nia, musieli opuścić miasto albo do- stali okresowe czy czasowe zame- ldowanie, mimo że przebywają i pra- cują na terenie stolicy od wielu lat...

A teraz spojrzmy na tę sprawę z innego punktu widzenia. Przypuśc- my, że istotnie 99% z tych dwu kategorii to element zbyteczny dla miasta. Więc trzeba raz na zawsze z tym skończyć! Wyjaśnić, że Łódź, Wrocław, Szczecin czy Stalingrad, Bielska czy Zielona Góra to też Pol- ska, że tam mogą pracować i przy- budować, i w przemyśle, i w PGR- ach; trzeba im dać rzetelną infor- mację o warunkach pracy w naj- rozmaitszych punktach kraju i raz na zawsze tę sprawę załatwić.

Trzymać tysiące ludzi w stanie ciągłej niepewności, bez przerwy absorbować ich uwagę sprawami meldunkowymi, które na domiar złego stają się niekiedy źródłem zemsty i kombinacji różnych „na- czelników” od spraw meldunkowych (bo ich troski socjalnobytowe raczej na tym się koncentrują) — to zna- czy zrazić młodzież, wpoić w nią uczucie, że nie jest u siebie w do- mu, że DMR czy Hotel to miejsce przelotne, z którego każdej chwili można być wykwaterowanym. A to prowadzi do specyficznego ro- dzaju zemsty. Konserwatorzy skar- żą się na wiele uszkodzeń w poko- jach, ubikacjach, umywalkach i pralniach. „To nie moje” — myśli młodzież, bo i administracja, i na- sza praktyka meldunkowa, i stosu- nek do mieszkanków robi wszystko, by ją w takim przekonaniu utwier- dzić.

Do młodzieży trzeba przemówić jak do dorosłych

Wydaje mi się rzeczą na czasie, by ostatecznie sprawy czasowego i okresowego pobytu młodzieży ro- botniczej w Warszawie uporządko- wać: tym niezbędnym dać stałe za- meldowanie, a tym którzy ze wzgł- edu na przedłużenie są w stolicy niepotrzebni, w sposób troskliwy, serdeczny, odwołując się do ich pa- triotyzmu, do troski o własne do- bro i spokój własny — wytłuma- czyć, że muszą miasto opuścić.

Przyznaję, że wówczas gdy roz- mawiałem z kobietami na Ogrodowej, nie wiedziałem iż akcja z za- meldowaniem czasowym i okreso- wym dotyczy tylko Warszawy. Wy- cawalo mi się, że w ogóle podjęto akcję zwrotu części młodzieży, bardziej potrzebnej na roli a ż w mieście. Podczas spontanicznej wymiany zdań w związku z inwe- dentem z R.W. zwróciłem rozżalo- nym kobietom uwagę na ogólnie- e wsi z młodzieży, na szkole, jaką ponosi wieś z braku młodych rąk do pracy, z braku tych, którzy na pewno pierwsi byłiby za wprowa- dzeniem nowej techniki, za zakła- daniem spółdzielni, za rozwijaniem urządzeń i instytucji kulturalnych, zbliżających wieś do miasta. I gdy tak sobie monologizowałem, jedna z kobiet odezwała się: „To prawda co gadacie, ale przecież nikt co nas tak nie przemawia!”

Tak. Do młodzieży trzeba prze- mawiać jak do dorosłych, jak do ludzi myślących, wykazać serce i zrozumienie. Przecież są wśród młodzieży tacy, którzy nigdy nie zaznali smaku domu, nie zaznali serca matczynego, nie wiedzą co to jest rodzina; przecież wśród tej młodzieży jest sporo takich, którzy zakosztowali głodu i poniewierki u kulaków wiejskich, bezdomności, gorczy samotności, która ich nie- stety i teraz prześladowa, gdy wresz- cie uśmiechnął się im los, gdy pracują już w buconiwie czy w innym zakładzie pracy i mają, bądź co bądź, nowoczesne warunki ży- cowe. Przecież jest tu młodzież, która szczerze kocha swoją pracę, swój kraj, nie szedzi sobie przy- żadnej roboty i nie narzeka nawet gdy mało zarabia, ale spragniona jest jednego: ciego słowa, troski, serdeczności, opieki. A nie znajdu- jąc jej szuka zapomnienia w inny sposób, poddaje się wpływom ko- leżanek i kolegów-bumelantów ze- rujących na cudzych zarobkach, kradnących swych kolegów, kre- gących się w czasie pracy na Ba- zarze Różyczego, idących na fa- ltywce zarobki albo wymuszających na spragnionej przyjaźni młodzieży stawianie wody, zakąsek, dzielenie się zarobkiem...

Nie, nie środkami wyłącznie ad- ministracyjnymi i represyjnymi trzeba i można oddziaływać wycho- wawczo. Trzeba nad młodzieżą pra- cować, wnikać w jej życie osobiste, w przyczyny zwichnięcia moralnego, doszukiwać się winnych i odzילו- wać daną jednostkę od złego towa- rzystwa. Trzeba wzbudzić w mło- dzieży zmysł porządku, piękna, od- powiedzialności — a nie karać czy straszyć wymeldowaniem, wykwa- terowaniem. Wówczas rezultaty nie dadzą na siebie czekać.

Salomon Łastik

Jak powstał „Doktor Faustus”

(Dokończenie ze str. 1)

artykuł, w którym dowiedziono, że Shawcross cytował nie Goethego, lecz moją powieść — co wywołało lekkie zakłopotanie w londyńskich kołach oficjalnych. Z polecenia Fo- reign Office napisał do mnie z Waszyngtonu ambasador brytyjski, lord Inverchapel, z prośbą o wyja- śnienie. Odpowiedziałem, przyzna- jąc, że „Times” miał słusność, iż chodzi o mistyfikację, podjętą przez jej sprawców w najlepszej myśli. Porecylłem wskazać za to, że cho- ciaż Goethe w rzeczywistości nie wypowiedział tych słów, które pro- kurator włożył mu w usta, to nie- wątpliwie mógł je powiedzieć, i w szerszym rozumieniu Sir Hartley cytował przecież właściwie.

29 stycznia przed południem na- pisałem ostatnie wiersze „Doktora Faustusa” takie jak je długo no- siłem w sobie: cicha modlitwa Zeit- bioma za przyjaciela i ojczyznę — i cofnąłem się myślą przez te trzy lata i osiem miesięcy, w ciągu któ- rych żyłem pod naciskiem tego dzieła, aż do owego poranka majo- wego, kiedy sygnałem po pióro. „Skończyłem” — powiedziałem do żony, gdy przyjechała po mnie sa- mochodem zabrać mnie z codzien- nej przechadzki nad Oceanem; a ona, która tyłu już zakonczonych od- czekawała wiernie i tyłu wraz ze mną dokonywała — jakże serdecz- nie mi powinszowała! „Czy słusz- nie?” — pyta dziennik. I dodaje: „Uznaję osiągnięcia moralne”.

W istocie nie miałem tego uczu- cia, że skończyłem, chociaż napisa-

łem słowo „koniec”. „Rozważył i udoskonalil manuskrypt” — to by- ło zajęcie na najbliższe dni. Usuna- łem z dopisków szczegóły, które przy odczytywaniu uznałem za zbyt przytłaczające, majstrowałem jeszcze przy sonacie skrzypcowej i przy muzyce kameralnej, wprowa- dziłem motto z Dantego i przez chwilę uważałem za wskazane na- dać ciężkiej masie rozdziałów ja- śniejszą formę poprzez podział na sześć „ksiąg”. Już po dokonaniu podziału znów zaniechałem tej my- śli. Minał tydzień, pierwszy ty- dzień lutego, zanim uznałem książ- kę za „ostatecznie odożoną” i po- stanowilem już nie przykładać do niej więcej ręki.

Pewnego dnia czerwcowego — a było to jak we śnie — siedziałem na scenie teatru w Zurichu, w tym samym miejscu, w którym przed osmiu laty odczytywałem na poże- gnanie „Lottę w Weimarze”, i oży- wiony i uszczęśliwiony z ponow- nego spotkania z ukochanym mi- astem przedstawiałem witającej ser- decznie publiczności scenę Fitel- berg — Riccauto.

Spędziłyśmy kilka tygodni tego osłonecznionego lata w Flims, w kantonie Graubünden, i tam czyta- łem napływające co dzień z drukar- ni w Winterthur korekty „Dok- tora Faustusa”.

Powieść o jego powstawaniu była skończona. Rozpocząła się rzecz o jego życiu ziemskim.

Tomasz Mann- (Fragmenty)

ZOFIA KRZYŻANOWSKA

Ziemia nieznana

Pozornie wydaje się takie proste: wystarczy przekreślić gałkę radiowego aparatu, by rozpocząć błyskawiczną podróż po świecie i radiofonii, poznać osiągnięcia i eksperymenty radiowej sztuki. Co za szerokie, nieograniczone możliwości wymiany międzynarodowych doświadczeń, wzbogacenia radiowego programu, zbliżenia kulturalnego narodów! Lecz w rzeczywistości program Polskiego Radia nie korzysta niemal z doświadczeń innych radiofonii — mimo iż istnieje w nim specjalna komórka „Wymiany z Zagranicą” i Biuro Studiów, które zajmuje się m. in. analizą audycji zagranicznych.

Sluchaliście z pewnością niejednokrotnie ciekawego turnieju zagadek pt. „Zgaduj zagadła”. Te — cieszące się dużą popularnością — audycje przywędrowały do nas z Radia NRD, gdzie nadawano je już od szeregu lat. Przesłane do wykorzystania przez NRD audycje przeleżały się u nas przez... 3 lata, zanim zdecydowano, iż warto są naśladownictwa.

Bywa jeszcze gorzej. Wiele ciekawych form i typów audycji zagranicznych nie doczekało się w ogóle zastosowania w naszym programie. Dla większości pracowników programu Polskiego Radia radiofonie zagraniczne pozostają „ziemia nieznana”, której istnienie zaledwie przyjmuje się do wiadomości. A tymczasem dzieją się w nich rzeczy ciekawe, których znajomość mogłaby wiele pomóc w rozwoju naszego programu. Specyficzna różnorodność dziedzin i form, jakie obejmuje radiowa sztuka wpływa na to, iż o ile trudno mówić o przodowaniu którejś z radiofonii na wszystkich odcinkach — o tyle nie ma bodaj takiej, która nie posiadałaby osiągnięć w jakiejś dziedzinie, rzeczy interesujących i wartych uwagi.

Wspomnę tu choćby cykl audycji radia francuskiego pt. „Trybuna historii”. Poprzez inscenizację historycznych wydarzeń, anegdot, sięganie do pamiętników i relacji ludzi z minionych stuleci tworzą one żywy i zajmujący obraz epoki, sylwetki ludzi, wydarzeń. Włochy nadają audycje o dziejach starych zamków i innych zabytkach architektury, zaś londyńskie radio stworzyło słynny „Trust mózgów” — blyskotliwe „dyskusje pięciu” przed mikrofonem, o problemach nauki, sztuki, obyczajów i moralności. Nadawany jeszcze w okresie wojny „Trust mózgów” zdobył sobie tak olbrzymią popularność u społeczeństwa angielskiego, iż każda audycja tego cyklu stanowiła dla słuchaczy wydarzenie. Anglia jest również twórcą tzw. „audycji rodzinnych”. Są to zradiofonizowane, cykliczne powieści współczesne przedstawiające życie pewnej rodziny w sposób, mający wywołać u słuchacza wrażenie autentyzmu przed-

stawianych mu ludzi i ich przeżyć „Prawdziwe”, muszą być więc sylwetki bohaterów, naturalne ich rozmowy i wiarygodne wydarzenia. Konsekwentnie realizowane dążenie do „autentyzmu” i „naturalności” sprawia, iż u wielu słuchaczy ugruntowuje się przekonanie, iż bohaterowie tych audycji istnieją naprawdę. Pod fikcyjny adres fikcyjnych ludzi napływają wzruszające listy, w których nieznani słuchacze ofiarowują im pomoc i radę, dzielą się swymi doświadczeniami i spostrzeżeniami. Aktualność akcji, która obejmuje wszystkie ważniejsze wydarzenia — wielkie i małe — jakimi żyje angielskie społeczeństwo przyczynia się do większego jeszcze związania bohatera „Powieści” ze słuchaczem.

Nie doczekały się naśladownictwa u nas również słuchowiska fantastyczne o podróżach międzyplanetarnych — udratamizowana fantazja współczesnej astronomii, poparta wiadomościami z najnowszych zdobyczy nauki i techniki. A szkoda...

Przykładów nie wykorzystanych możliwości wzbogacenia naszego programu można by mnożyć wiele, i to nie tylko sięgając do radiofonii zachodnich, lecz również do bliskich nam krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego. Bez echa przeszedł u nas rewelacyjny reportaż dźwiękowy — epopea pt. „Wśród polarnych nocy na lodowej krze” nadany przez radio moskiewskie. Nikt nie sięga do wzorów niemieckich audycji krajoznawczych — pasjonujących wędrowek po miastach i okolicach pełnych niespodziewanych spotkań o posmaku przygody, odkrywania piękna zabytków i ludowego folkloru.

Istnieje paradoksalna sytuacja, w której wiele mówi się w Polskim Radiu o potrzebie „poszukiwania nowych form” (czego rezultaty są nb. już widoczne w bieżącym roku) — a jednocześnie nie wykorzystuje się bogatych doświadczeń innych radiofonii, pomija je często lekceważącym milczeniem lub bezapelacyjnym twierdzeniem, że „dla nas to nie przydatne”.

Rzeczywistość zaprzecza jednak poglądom o rzekomej niecelowości sięgania do eksperymentów radia zagranicznego, o konieczności szukania wyłącznie własnych, samodzielnych rozwiązań. Zmudne poszukiwania „na własną rękę” prowadzą często do odkrywania rzeczy dawno przez innych odkrytych. I przeciwnie — nieliczne próby przeniesienia na nasz grunt obcych zdobyczy dają doskonale rezultaty. Pomyśl „Muzyki i Aktualności” — która tak zrosła się w naszym wyobraźni z programem Polskiego Radia — wywodzi się z Szwejcaria...

Izolacja, w jakiej — wbrew obiektywnym warunkom i możliwościom — pracuje program Polskiego Radia — wypływa ze swoistej niechęci do eksperymentu i nowych metod, które kryją zawsze pewne ryzyko

niepowodzenia, z przywiązania do raz przyjętych schematów i wypróbowanych dróg. Stare przyzwyczajenia, tkwiące głęboko w wielu redakcjach — osłanianie się dziesiątkami argumentów o „trudnościach”, o tym, że „nie ma czego próbować”, że „nie chwyty”, że „u nas co innego się podoba” itd. Niechęć do eksperymentu przetrzymuje latami ciekawe materiały na półkach i w szufladach redakcyjnych biurów — zanim znajdzie się odważny, który spróbuje...

I jeszcze jedno. Istnieje u nas zakorzeniona wstydlivość w sięganiu do programów radiofonii zachodnich, jak do czegoś, do czego zaglądać nie wypada, co jest brzydkie, złe i „w ogóle”. Wynika ona z jednostronnego i wąskiego spojrzenia na dorobek kulturalny tych krajów, z niebezpiecznych ogólników, w których pod jeden mianownik podciąga się szmirę i sztukę, szkodliwość kapitalistycznej propagandy i piękno narodowych tradycji kultury, przejawy rozkładu i ciekawe poczukiwania artystycznych dróg wyrazu. Niewłaściwe zrozumienie zasady jedności formy i treści w sztuce prowadzi często do bezapelacyjnego odrzucania szeregu dużej miary osiągnięć formalnych sztuki radiowej tylko dlatego, iż w radiofonii zachodniej służyły do przekazywania obcych, czy wrogich nam treści. Niesłuszność, a nawet szkodliwość podobnej postawy jest tak oczywista, iż chyba zbędne jest jej udowadnianie. Odcinając się od zdobyczy światowej sztuki radiowej zubożaliśmy nasze środki artystyczne stwarzając przy tym wrażenie, jakby atrakcyjna forma była nierozdzielnie związana z reakcyjną treścią. A słuchacz?...

Radiowy aparat ma specyfikę, iż można nastawiać go na cewolne fale, podróżować na „własną rękę” po rozległych falach eteru. Jest to podróż ciekawa dla ludzi, którzy znają języki i posiadają niezbędną orientację w tym, co i gdzie można znaleźć wartościowego. Podróż niebezpieczna dla innych, którzy błędą, przypadkowo przesuwając gałką aparatu, podróż, w której czekają zasadzki szmiry i wrogiej propagandy.

Jeśli dla pracowników Radia światowa sztuka radiowa jest często „ziemia nieznana” — cóż dopiero dla przeciętnego radiosłuchacza? W wędrowkach po falach eteru nie ma przewodników. Informacje podawane w tygodniku „Radio i świat” ograniczają się jedynie do koncertów muzycznych nadawanych przez rozgłośnie Moskwy, Berlina i Pragi. To o wiele za mało. Nieliczna grupka „wtajemniczonych”, wie, że z Paryża można usłyszeć czarujące piosenki, z Rzymu piękne koncerty muzyki operowej, z Lipska koncert symfoniczny, z Pragi radiowy kabaret, z Berlina ciekawe reportaże i audycje satyryczne itd. „Ziemia nieznana” nieci tajemniczością rzeczy niewiadomych — szczególnie, gdy nasz własny program tak niechętnie sięga po nowości radiowej sztuki. Czy nie lepiej zastąpić błędzenie rzetelną informacją i tym, co wartościowego nadają zagraniczne radiostacje? A przede wszystkim należy zerwać z metodą pracy w izolacji, z ignorancją zdobyczy światowej sztuki radiowej — sięgając śmiało po jej doświadczenia, by program nasz stał się w pełni atrakcyjny i różnorodny.

Zofia Krzyżanowska

IRENA KRZYWICKA

J A R A C Z



W roli Arnolfa — „Szkola żon” (Ateneum, 1936)



W roli Pana Geldhaba (Ateneum, 1936)

Niewysoki, krępy, o twarzy okragłej z perkątem nosem, miał na pierwszy rzut oka warunki na komika. Była to pospolita twarz. Chód miał jak zwykle u ludzi barczystych i przysadzistych nieco niedźwiedzi, głos nieco chrapliwy...

Ach, ten głos! Pierwszy raz słyszałam go, kiedy w kawiarni młodych pikadorczyków (późniejszych skamandrytów) deklamował „Sokratesa tańczącego” Tuwima. Wszedł na estradę leniwie i, od niechcenia pomilczał chwilę, przeciągnął się i tym swoim chrapliwym głosem po-

czął mówić zwolna, drwiąco, wyzywająco, zaczepnie „Pławię się w słońcu, gałgan stary...” Ten głos, to było od razu zaprzeczenie deklamatorskiego belcanta, to były kpiny z samego siebie i z publiczności, to było uraganie na wymuskane, dostojne pojęcia i etykiety: „znakomity aktor”, „światny poeta”, „genialny filozof”. Na estradzie stał człowiek z ludu i mędrzec zarazem, który mówił głosem chłopca zbudzonego przed świtem, trochę zapijaczonym, trochę zmęczonym, głosem nie na pokaz, głosem nie do wiersza. Ale ten chrapawy, prymitywny głos nadawał jakieś osobliwe znaczenie słowom: wibrowała w nim siła, z początku niemrawa i ukryta, potem coraz jawniejsza, coraz idąca w głąb, coraz bardziej przeszywających dobywała akcentów. Zaczął w tym zduszonym nieco, a jednocześnie coraz mocniejszym głosem brzmieć śmiech i huśtać się coraz bujniej, a wraz z nim kołysała się cała krótka, sprężona jak do skoku sylweta, w niedbale rozpiętej marynarce, z czołem podanym do przodu. I od razu nastąpiła przemiana, jaka jest dana tylko wielkim artystom. Na estradzie stał Sokrates, upojony słonecznym winem, bezwstydnym, rozpasany, rżący ze śmiechu, chłopski mędrzec syplący przygaduszkami, mędrzec patrzący w same ślepie tajemnicom przyrody. Wielkość i trywialność, poezja i pijaństwo, mądrość i urągawisko, śmiech i tragizm — kto potrafił oddać to wszystko — tak jak Jaracz swoim głosem chrapliwym, oszczędnymi ruchami wymownych rąk, błyskiem oczu.

Jaracz był chłopem z pochodzenia i często grał właśnie chłopca, w przeróżnych zresztą postaciach. I cała siła ludu nagromadzona przez wieki złoza cierpienia, humor rubaszny i zarażliwy, nieśmiałość i zuchwałość, chytrłość i samorodna mądrość — to wszystko stanowiło drugie dno większości jego ról. A nade wszystko siła. Była w tym



Jaracz i Eichlerówna w „Zamachu” Sonina (Ateneum, 1937)

człowieku moc wewnętrzna, która od razu ujarzmiła widza i kazala mu iść posłusznie za artystą. Jaracz robił z nim, co chciał. Nie podobna było odwrócić oczu, ziewnąć, myśleć o czym innym, gdy grał. Było się całkowicie we władzy tego człowieka.

Role, nanizane na wspomnienia, niezapomniane. Murarz w „Zem-

wyrazić potęgę, umiał też jak nikt inny pokazać słabość. Długa była seria jego słabych ludzi (przypomina mi się w tej chwili „Szczęście Frania”, „Pan Brottonneau”), niedorajdy o złotym sercu, żalonne, śmieszne, trochę wzruszające, typy nieco chałpinowskie, gdyby nie to, że w interpretacji Jaracza bardzo polskie. Mieszczychy, drobne mieszczychy, których ociowicie czy dziadowie zapewne orali ziemię, lub ślęczeli w

we wszystko co chciał, przybierał wieloraki oblicza. Jaracz nigdy nie celebrował samego siebie, nigdy się sobą nie lubował i nie prześlągał w roli, jak w zwierciadle. On służył roli, wcielał się w nią i budował postać, choćby ta miała zawierać w sobie elementy na pozór mu obce. Nie grał nigdy dla popisu, nie tokował zwyczajem wielkich aktorów, wsłuchany w siebie, wpatrzony w siebie. Grał zawsze, żeby coś wyrazić, wstrząsnąć, zaprotestować, krzyknąć na alarm, albo pośmiać się rozkosznie i mądrze.

ROMAN BRATNY

OLBRZYM

Ludzie, ludzie! Rośnięcie! Spójrzcie jak się fałduje marynarka na barkach uczonego w Genewie. Oto pod nią kiełkuje małe skrzydło Ikara co na księżyc nas wzniesie...

Nikt mi nie chce uwierzyć, choć ja tylko tłumaczę jeden numer gazety — dobry numer: dzisiejszy.

Nasza biedna wyobraźnia niczego nie ogarnia z nowych światów atomu. Jakbyś Dante'm podał słuchawkę telefonu i rozkazał mu: mów. Jakbyś wsadził husarza na motor BMW. Mocniej niż jego skrzydła

osławione szarżami szumią te — przyciśnięte uczonemu szelkami.

Oto jutro, już jutro Księżyc — Leśna Podkowa, na wyciągnięcie ręki bliski podmiejski kurs. Synu nienarodzony gdy uczyć się nie zechcesz nie będzie z tobą zmartwień: budkę z wodą sodową poprowadzisz na Marsie.

Okna czy gwiazdy świecą. Nie czytaj na ulicy pora spóźniona już. Nade mną letni wieczór Róg Wielkiej Niedźwiedzicy i Alei Róż.

Tu walę się na chodnik niezgrabnie i jak długi

a sprawca gdzie umyka bo wpędził mi pod nogi pędzoną na druciku fajerkę zdjętą z kuchni.

Hej synu, synu niesforny. Już matka siecze go w skórę nie widzi, nieprzytomna, że on przeniesie górę... Jak beczkę — na stos klepek

mogliśmy świat rozsypać, ale dzieci — olbrzymi jak takiej beczki obręcz pognają południki („proszę już nie bić syna!”). Pognają i równiki przez pustynie arktyki, pozamieniają klimat.

Ojoj, jak boli dupka olbrzymal

Dachy — prostujcie anteny. Mądrość jest zaraźliwa.

Ta wiosna — cywilna pora — (ile kolorów nosi!) wraz z latem, jak dobry lodziarz nadzieje daje ludzkości.

Upodobnieni radością jak wczoraj mundurami upodobnieni uśmiechem nie ryjem maski gazowej czekamy zła oceanu na komunikat radiowy...

Jakby się wieczorna pora zarumieniła tak jasno. Może papierosika przypaliło miasto?

A to neony jakby pierwszą zapalkę „cywilną” zapalił naraz zwolniony prawie-milion.

(Na niebie gwiazd przybyło ku rozpacz poetów: to chyba oficerskie zwojnione z epoletów? Wzeszły aż dwa księżycy — o rany! —

czy dzwonić na milicję? Nie, to powrócił pierwszy zdemobilizowany.)

Dzwonią lyżeczki w szklance, rodzinny gwar i hałas. Menażki owdowiałe milczą głucho w koszarach.

Gwóździ z żołnierskiego buta zateksnili za perspektywą: na rusztowaniach huka, łeb chowa w deskę pocziwają.

A nieco wyżej księżyc srebrne ostrogi ukrywa.

DEMOBILIZACJA

ANDRZEJ ZIEMIŃSKI

Filar Pysznego Szczytu

W 1949 roku wraz z przyjacielem przekroczyłem granicę słowacką na moście przy Łysym Polanie. Był początek wczesna, owa rzadka w Tatrach seria dni, najbardziej pożądaną przez turystów. Ranki są wtedy przejmująco chłodne, a słońce rysuje osłabione cienie na piarżyskach; południa gorące, lecz nie upalne, suche pasma mgły włożą się po graniach, podczas gdy nad dolinami stoją pękate wieże chmur — szeregami, aż po horyzont. Wieczorem wiatr gwizda w złbach, nad głową migocze światło gwiazd...

Gdyśmy ruszali, popołudnie kładło długie cienie na szerokie łozę Jaworowej Dłiny. Droga jezdną przechodziła w trakt, potem w szczyk; grzęzła w końcu wśród wybujałych traw, ledwie znacząca się zbiakłymi paskami na kamieniach: szlak turystyczny nie był uczęszczany. Dalej, z prawej, zielone łąki stały się dęba, przetrwały w białych ścianach, te w wielkie zerwy Jaworowych Turni. Z przeciwnej strony w różowującym słońcu rozwijała się góra, ledwie znacząca się zbiakłymi paskami na kamieniach: szlak turystyczny nie był uczęszczany. Dalej, z prawej, zielone łąki stały się dęba, przetrwały w białych ścianach, te w wielkie zerwy Jaworowych Turni. Z przeciwnej strony w różowującym słońcu rozwijała się góra, ledwie znacząca się zbiakłymi paskami na kamieniach: szlak turystyczny nie był uczęszczany.

Stanęliśmy na niej po zachodzie. Pod nami białe niewyraźne zarysy śniegów w matowej pustce głębokiego skalnego kotła. Niżej jeszcze leżała nasza dolina, zanurzona w kompletnym mroku. Tylko przeciwny grzbiet świecił pomarańczową łuską swych najwyższych wypiętrzeń.

— Naturalnie Łomnica. No i Durny.

— Właściwie dlaczego Durny? — rozłożyłem się. — Słowacy wierzą w go Pyszny. Popatrz...

Spojrzelśmy obaj. Łomnica była wyższa, bardziej regularna. Miała też przywilej każdego kończącego grań wzniesienia: podnóżem sięgała dolin, królowała nad nimi. Jak przypora podtrzymywała wielki mur Tatr. Ale Durny, a raczej Pyszny prezentował się zgodnie ze słowacką nazwą: wyniosły, zwieńczony dumną czapą szczytu. Wskazałem nań głową. — Pójdziemy jutro, dobrze?

Zaczęliśmy ostrożnie zstępować w ciemną jamę nocy. Gociniec późnej byliśmy w schronisku. Wysłaliśmy późno: leżał nam jeszcze w nogach dzień wczorajszy. Niebo było czyste. Pyszny wpiął się kopułą w wachlarz skalnych grzęd, które wysyłał przed siebie w głąb doliny, rozczapierzone jak palce. Zlebami schodziły białe strużyny śniegów, piany potoków świeciły w rannym słońcu. Pola stromych traw kładły się pod skały, poplamione olejnymi łatami kosodrzewiny; u stóp Łomnicy szumiała kłębowisko strumienia. Jeszcze niżej obłe stoki gór opływał las świerkowy, a dalej leżał Spisz, połyskując iskrami dachów, nierealny i przejrzysty jak rozdrożona w ciepłym powietrzu pajęczyna.

Podchodziliśmy bez pośpiechu. Front ciemnych skał zaciągał swą kamienną kurtynę na horyzont. Z trudem znaleźliśmy lukę: kanion weisnięty w gładzińcy ścian. Nie od razu ujawnił swój bieg: zasłaniał go kulisami, które na przemian ziewy i z prawej wstawały w zawalone głazami dno. Nad głową w wąskim wykroju opalizowała przeczyszczona, niebieska wstążka nieba: tu trwał mrok i mchy oczekiwały wodą. Za kolejnym zakretem kanion zaciągał się jeszcze bardziej, a potem znikająca jego ściany uciekały na boki. Pomiedzy nimi kolosalny filar jak wbiły pionowo miecz rozciął gąrdziel wąwozu, wypiętrzony wysoko ponad krawędzie. Tędy

wiodła nasza droga i wzrok biegł w górę, gdzie filar strzelał w niebo, zwrócony do słońca ostrzem gładkim jak diób okrętu.

Teraz zaczyna się dziwne misterium, które jest treścią i celem tej wędrówki. Oto kanion zapada w głąb, spychany naciskiem dion. przylgniętych do chropawego kamienia. Wysoce nad głową tańczą, widziane od spodu, stopy towarzysza: każdy jego ruch czuję w drobny dreszczu liny przesuwającej się przez ręce. Przyspiesza teraz bieg, jej wiotkie, a przecież mocne

ciężko sady porywiście między palcami, wreszcie staje. Dźwięczny ton wbijanego haka kołaczę w studni kanionu. Ruszam, sypią się na mnie z góry suche trawki, ziarna żwiru strącające lina. Nim dochodzę towarzysza, wpół drogi, na gładkiej płycie przekraczam granicę cienia. Chwilę odpoczywam, jakbym nasłuchiwał tętna rozgrzanej skały.

Leży przede mną w słońcu cała dolina, ciemniejsza oka jezior, wiatr weselo toczy obłoki, uparcie gadają siklawy. I nisko, żałośnie zapadły

się ściany kanionu: tępe zęby osypałe trawami dawno straciły swą dumną urwistość.

Jest coś dziwnie radosnego w tym spokojnym, a przecież do ostatka naprężonym przemierzaniu cząstek naszej materii. Dłoń kładzie się mi na bitym, palce wynajdują jego rzeźbę, odczytują dla siebie: zwie się ona oddat chwytem. Jeszcze gumowy czub trzewiczka wgniata się w zakłosem granitu — ciało posłuszne woli przesuwają się tak płynnie ku górze, że jedyną miarą wy-



Rys. Ignacy Witz

słku zdaje się oddech, ciężki, bolesnie ciawiony napięciem mięśni. Mysł człowieka przestaje być wtedy zwyczajną, ciągłą tasmą obrazów i skojarzeń: rozrywa się, rozpada na monotonne, a jednak gorączkowe mota: powoli — powoli, ostrożnie — ostrożnie, dobrze... Kiedy indziej zamyka się w okach ciemnej, niewidocznej sieci narzuconej na skałę: od chwytu — do chwytu. W takiej chwili nie istnieje żadne „urwisko”, żadna „przepaść bezdenna”: są dwa kwadratowe metry granitu wydarte z pomarszczonej twarzy góry, odosobnione. Jest tylko wyważony kształt własnego ciała, drapieżnie czujny i celowy. W miarę oddalania się od towarzysza, gdy stoisz pięć — osiem — dziesięć metrów ponad nim, czujesz jednak, jak napina się tkanina nerwów, w skrocie napływa fala krwi. Potrzebny jest hak. Zaciekle łomociesz młotkiem ową klin z miękkiego żelaza wchłaniany leniwie przez szczerzy granitu. Grzechocze karabinek. Lina napina się w nim, przyciąga ciało do skały. Możesz opuścić zmęczone ręce, rozluźnić mięśnie. Fala emocji odpływa. Znowu zbierasz siły, z zadartą głową w nawieszonych krzesanicach wyczytujesz drogę, i dopiero gdy wypełnisz ostatek liny z ręk towarzysza, kończy się kolejny etap.

Przypięty do haka, uwieczony własnymi dłońmi, siedzisz teraz tyłem do ściany, na trawiastej polce. Pachną wygrane ziola. Lina szeleści o wiatrówkę: Idzie twój towarzysz. Słeka w tych samych miejscach, gdzie i łobie było trudno. Uśmiehasz się i przez przymrużone powieki pijesz burliwy i zastygnięty zarazem krajobraz: morze szczytów zalewające aż po brzegi horyzont, piórpusze chmur, płamy słońca na dalekiej zieleni pagórz.

Na zegarku prawie dwunasta. Towarzysz wynurza się zziębnięty, obwieziony hakami. Kiedyż skończy się ten cholerny filar? Tymczasem mgły gęstnieją, obmywają ścianę lepką pianą. Robi się chłodno. Partner idzie coraz szybciej, śmieje się, znikając za załosem skały, lina pedzi skokami, staje. Można iść! Ściana się kładzie, rozbija na nieskształtne bloki. Koniec, koniec filara! Zbieram kłęby porzuconego niedbale sznura. Już niepotrzebny. Przec. rami łagodnie wznosi się grań — w stronę szczytu.

Wierzchołek okazał się rumowiskiem głazów spiętrzonych i wypłukanych przez deszcze. Szybko znaleźliśmy wśród nich schronienie przed wiatrem. Ciężkie kłębowiska chmur przewalały się nad graniami. Zrobiło się zimno. Nałożyliśmy wiatrówki: należało właściwie rozpocząć i ruszać w drogę powrotną — trochę za długo trwała dzisiejsza zabawa.

Towarzysz mój siedział z głową odchyloną, żuł miętówkę. — Taak, ładnie tu — powiedział cicho, bardziej do siebie niż do mnie. I dodał po krótkiej przerwie: Widziałeś puszkę? Trzeba by ją zająć. — Jaką puszkę? — No, na wizytówkę.

Od dawna wiedziałem o tym mało obecnie praktykowanym obyczaju, u nas zarzuconym zupełnie: na ciekawych, a niełatwo dostępnych szczytach instalowano puszkę czy skrzynki, w których turysta zostawiał jakiś ślad swej bytności, przejęcia, którejs z taternickich dróg. Zwykle był to bilet wizytowy z dołączonymi nazwiskami towarzyszy, całą, rzadziej innymi szczegółami. Nierzaz podawał autor nazwę

drogi wspinaczkowej, jakąś tam południową ścianę, czy komin z cenną uwagą: „trzęcie przejsie”, lub — w wypadku nowej zdobyczy, „droga nadzwyczaj trudna”. Niepisany kodeks taternicki nie pozwalał na nic więcej. Nie spotykało się tu żadnego z owych naiwnych a przecież głęboko ludzkich, zwyczajów, którymi popatrzone są księgi schroniskowe. Ktożby zresztą zapatrywał się specjalnie w kartę wielkiego papieru, sprzyjającego podobnym wynurzeniom, chroniąc ją po drodze od wymięszenia, rozdarcia czy wilgoci? Również rzadkie jak lircyna wyewność były mistyfikacje: ow świątek, który zachłystywał się górską samotnością, po to tylko, aby w ustawicznym zmaganiach z jej surową naturą przezwycięzać samego siebie, ów świat wyselekcjonowany latami tradycji i swoistej mistyki, nie był zdolny do tak podłego snobizmu.

Mimo to, a może na skutek tego, odczuwałem niechęć nawet do tak lakonicznej rejestracji mych bardzo osobistych wrażeń. Puszką, biletu... Zresztą nie miałem biletów. Trochę przekornie stanąłem nad towarzyszem, który kłęcząc otwierał pokrywę blaszanego walca. Tkwił w nim drugi, mniejszy cylinder.

—Przedwojenna jeszcze — mruknął ze zdziwieniem. W polskiej części Tatr ślad nie pozostał ze skrzynek na Zamarłej i Niebieskiej Turni, na tej widniał wybitny inicjał „KČST” — związku czechosłowackich turystów, który nie istniał bodaj od monarchistycznego rozbioru Republiki. Odkreśliłmy drugie wieko. Puszką była pełna. Upchane papieruska rozprostowały się, parę spadło na ziemię.

— Więc co? Przeglądaliśmy? — Towarzysz wyglądał dumnie pomieście kartki. — Po kolei, tak jak idą — odpowiedział.

Rozsiadaliśmy się między kamieniami niżej szczytu. Wiatr rozdmuchiwał nam włosy, ale prostokątne papierki spokojnie wędrowały z ręki do ręki. Przeglądaliśmy się spiesznie, z rzadka zatrzymując wzrok przy znanych nazwiskach. Karta za kartą cofaliśmy czas wstecz, nadawaliśmy mu bieg niezgodny z rzeczywistością, a przecież jakoś absurdalnie uporządkowany i logiczny, jak film puszczony na ekran od końca. Co pewien czas podnosiłem oczy i wsłuchiwałem się w ciężki łopot wichru, który nieprzerwanie pedził nad graniami białe i szare obłoki.

Specjalną stertę przykrywał świątek niedbale wyrwany z notesu. Ostatni byli tu dwaj nasi przyjaciele z Krakowa, dwa dni temu. Ołowek wygniół raczej, aniżeli wypisał datę, dwa nazwiska, lakoniczne objaśnienie: „grań Tatr Wysokich”, z nawiasem: „od Czuby Rakuskiej”. Musieli zatem być jeszcze niedawno, gramolić się gdzieś przez wyjąłowioną z taternickiej radości grań Świśtowego, ciągnąć na linach ciężko pakowne worey na Ostrym Szczycie. A może we mgłę szukając właśnie zejścia na Jaworową przełęcz? Spytamy ich po powrocie.

Dalsze papiery wywodziły się z jednego źródła, choć treść i charakter pisma różniły je między sobą. Porządnie złożone jak karty do gry — solidne arkusiki gęsto zadrukowane rubrykami. Imiona, nazwiska, cel, droga, czas przejęcia, data i uwagi — wszystko było skrupulatnie i czytelnie wypełnione. Na odwrocie winielka: czekan wtknięty w wianuszek liny. Pod tym wielkimi li-

EDWARD KOZIKOWSKI

ZE WSPOMNIENI

Znajomość z Zegadłowiczem

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Aby w jakiś sposób zaświadczyc o istnieniu naszej grupy, postanowiliśmy pod utworami publikowanymi przez nas w pismach, dodawać dopisek: „Z teki „Czartaka”. Oczywiście, nie miało to wielkiego znaczenia, bo kogo to mogło obchodzić i kogo miał się domyślać, że pod tym dopiskiem ukrywa się organizacja poetów, która przybrała sobie nazwę jakiegos „Czartaka”. Nikt wtedy nie wiedział jeszcze, że tak zwie się historyczna budowla w Mucharzu, w której przed wiekami zbierały się niedobitki arian.

Tymczasem nadciągnęło lato. Sprawę uruchomienia pisma trzeba było na razie zawiesić na kolku, jako że ogórkowa pora letnia nie sprzyja tego rodzaju poczynaniom i postanowiliśmy gromadzić (jeśli można tu mówić o gromadzie!) udać się do Zakopanego, aby spędzić tam przepiękny miesiąc urlopu, w czasie którego mieliśmy zamiar urządzić kilka wieczorów poetyckich. Ponieważ nasz pomysł organizowania wieczorów zbiegł się z podobną inicjatywą powziętą przez Komisję Gospodarczo - Organizacyjną Związku Zawodowego Literatów Polskich, ustaliliśmy, że wystąpienia nasze w Zakopanem będziemy organizować pod egidą Związku, odliczając pewien procent od dochodu na rzecz patronującego nam stowarzyszenia. Andrzej Strug, który w tym czasie był prezesem Związku i zamierzał spędzić lato również w Zakopanem, zapowiedział z własnej inicjaty-

wy, nie molestowany bynajmniej przez nas, że będzie nam ojcował i przed każdym wieczorem wygłosi słowo wstępne. Zegadłowicz zakrzępnął się zaraz i telegraficznie zamówił afiszę u swego kolegi szkolnego, typografa Franciszka Foltina w Wadowicach, który z czasem stał się nadwornym drukarzem poety. Afiszę miała przywieźć Maria Zegadłowiczowa, żona poety, do Krakowa, gdzieśmy wyznaczili sobie spotkanie — w drodze do Zakopanego. Podróż w tych czasach nie należała do przedsięwzięć ani łatwych ani pozbawionych niespodzianek. Tabor kolejowy był zdezastowany wskutek działań wojennych a uruchomione przy nikłym udziale fachowców fabryki parowozów i wagonów nie mogły podolać sypanym się zewsząd zamówieniom. Podróżowało się wtedy w owym 1921 roku, jakby to było najazutrz po zakończzonej wojnie. Nabycie biletów kolejowych połączone było z trudnościami i wymagało dopelnienia wielu daleko idących formalności. Pierwszeństwo mieli, jak zawsze, wojskowi i pracownicy instytucji państwowych, i to na podstawie delegacji służbowych. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że posiadamy w swym szczupłym gronie osobnika z głową na karku, którego przemysłowość i zapobiegliwość mieliśmy dopiero z czasem i podziwiać i wykorzystywać. Był nim Zegadłowicz. W ciągu dwóch dni wszystko było załatwione i pewnego lipcowego

dnia jechaliśmy już wygodnie w stronę Krakowa, powtarzając za Słowackim: „Serce tylko nuży pół jednostajność, tęsknota podróży”.

W grodzie podawawelskim spędziliśmy kilka dni w wymienionym humorze i stamtąd pomknęliśmy dalej — do Zakopanego. O ile pierwsze dni pobytu w stolicy Podhala układały się dość pomyślnie, zwłaszcza, że i pogoda nam sprzyjała, o tyle następne, które zbliżyły nas do terminów wyznaczonych na afiszach, przyniosły kłopoty i niepowodzenia tak nieoczekiwane, jak ten śnieg, który w te właśnie dni lipcowe spadł ni z tego, ni z owego w jakiejś burzy przedwieczornej i zasłał całe dosłownie Zakopane białymi piernatami.

Terminy wieczorów poetyckich były wydrukowane na afiszach wraz z nazwiskami uczestników. Poczet autorów otwierało nazwisko Struga, który został umieszczony na pierwszym miejscu i to wolowymi literami. Tymczasem, jak się okazało, Struga w Zakopanem jeszcze nie było. Dowiadując się o tym, słownie co parę godzin w miejscu wskazanym przez Wielkiego Muftiego Masonów, ale za każdym razem odpowiadano nam, że jeszcze nie przyjechał. Nie zjawiał się również Jerzy Brzeczowski, mimo solennych zapewnień danych nam na odjeździe w Warszawie. Jak postąpić? Afiszę już wisiały, trochę biletów sprzedano, odkładać było nie sposób. Pierwszy wieczór odbył się nie bez tremy z udziałem nas trzech: Millera, Zegadłowicza i moim. Recytatorką wierszy naszych była młoda aktorka warszawska, Stefania Olska, która sprzymierzyła się z nami i czyniła wszystko, co się dało, byle wydobyc nas z tarapatów i opresji. Zamiast przewidywa-

negu powodzenia, spotkał nas przykry zawód, bo publiczności zjawilo się niewiele, a kilka osób zażądało nawet zwrotu pieniędzy za bilety, oświadczając bez skrępowań, że przyszły specjalnie dla Struga. W pierwszej chwili Zegadłowicz zaproponował, aby obecnego na sali aktora Piekarskiego ucharakteryzować na Struga i „niech już będzie Strug!” Drugi wieczór okazał się pod względem frekwencji jeszcze gorszy. Zawiedliśmy się srodo, bo liczyliśmy na większy przyływ gości, a tu niepowodzenia pokrzyżowały nam plany i trzeba było zrezygnować z dalszego pobytu w Zakopanem. Zegadłowiczowie wracali do siebie, do Gorzonia, myśmy z Millerem i Olską postanowili pozostać w górach jeszcze parę dni, a ponieważ w Jaszczurówce było taniej, bez namysłu postanowiliśmy się tam przenieść. Jechaliśmy tam fiakrami z całą paradą. Dołączył się do nas w drodze jeszcze szkolny kolega Zegadłowicza, niejaki Słazek Hischin, lekarz niebylejaki, bo studiował medycynę osiemnaście lat z górą, cygan z usposobienia, trochę sensat, trochę zawiadaka, a ponieważ miał coś niecoś w czubie, próbował wszcząć zwadę z Millerem, stając w obronie kobiety, którą rzekomo ten ostatni obraził. Udało nam się z Zegadłowiczem wpłynąć pojednawczo na rozsiordzonych przeciwników i szczęśliwie dojechaliśmy do Jaszczurówki, gdzie zajęliśmy dwa obszerne pokoje w pobliżu potoku. Szumiał nam też tego wieczoru monotonicznie i usypiająco, jak miarowy turkot kół o szyny w wagonie sypialnym. Nazajutrz odwiedziliśmy Zegadłowiczów na dworzec, zapewniając, że wnet zjawimy się w Gorzeniu i tam spędzimy resztę urlopu. Była to odpowiedź na ich zaproszenie.

Na razie wykorzystywaliśmy słoneczną pogodę, odbywając wycieczki i spacer. W czasie jednej z takich wędrówek natknęliśmy się na znanych poetów z Miriamowskiej „Chimery”, Aleksandra Szczęsnego i Jana Rundbakena, oraz historyka literatury, Andrzeja Boleskiego, którzy, jak się okazało, mieszkali wspólnie w odnajmowanej od górali chacie w Bystrej. Spędziliśmy z nimi kilka dni na długich pogawędkach. Najbardziej interesującym z tej paczki okazał się Rundbaken, którego bliżej nie znam, a którego poemat „Śladem Rosynanta”, wydany nakładem „Chimery” zwrócił w swoim czasie uwagę oryginalnością pomysłów, głębią treści o akcentach filozoficzno - religijnych i zwięzłością formy. Był to doskonale zapowiadający się poeta, którego długotrwała choroba nerwów wyjąłowila całkowicie i w rezultacie sprowadziła na manowce.

Zbieraliśmy się właśnie, aby zrealizować nasz zamysł najazdu na Gorzeń, gdy nieoczekiwanie nadszedł pod moim adresem list, w którym Zegadłowicz, zwałając winę na swą ciotkę (bodaj te ciotki!), zaklinał nas, aby do Gorzonia nie przyjeżdżać. List ten cytuję in extenso, stanowi on bowiem interesujący przyczynek do charakterystyki Zegadłowicza, który nigdy nie umiał zdobyć się na otwarte i szczerze postawienie sprawy i wolał zawsze uciekać się do preparowanych na pozekanie niezłanych wykretów. W danym wypadku wystarczyło napisać, że przyjazd nasz może poważnie zaważyć na budzącej domowym Gorzonia — i tego na pewno nikt z nas nie wzięłby mu za złe.

List brzmił tak: „Nigdy z głupszym uczuciem nie zabierałem się do pisania listu — jak oto w tej chwili

li. Zły i zgryziony jestem tak, że mi słowa spod pióra umykają — Po prostu! — Przyjechalismy do Gorzonia i zastaliśmy dom tak gościmi ciotki mojej zaważony, że prawdę mówiący sami z biedą lokujemy się „kątami”. Przy tym — jak to w życiu bywa — natknęliśmy się na kwasotę (— prawdziwy ocet 77 zledeził —), która już (— po kilkudziesięciu godzinach —) tak mi doskwiera, że zwiemam do Kościanek do Hulewica. — Zważywszy, że niezależnie ode mnie impediementa — proszę was, drodzy moi — zrezygnujcie z przyjazdu do Gorzonia — odbijmy to sobie jesienią lub zimą — mam bowiem nadzieję, że do tego czasu wytruję pewną ilość osób, co niechybnie wpłynie na poprawę bytu poetów w Najjaści. Rzpłitej. List niniejszy odczytaj na placu publicznym coram p. Stefani i Nepomucena — proszę — zrozumcie mnie, wybaczcie, ulitujcie — kilku choć słowy donieście mi o waszym sentymencie; ja przywiązałem się do was serdecznie — i tym ciężiej, że z marzeń — plewy ostali”.

W pewnej chwili, korzystając z ciszy, jaka zapanowała po przeczytaniu listu Zegadłowicza, zaproponowałem, aby nie zważając na treść listu, nieopobawionego zresztą poczucia humoru, zrobić z miejsca wyprawę na Gorzeń, ale ponieważ w propozycji tej okazałem się osamotniony, nie pozostało nic innego, jak zażebrać od odwrotu i wycofać ten daleko idący wniosek.

Co było robić? Z pięknych projektów zostały przysłówowe nici i trzeba było zbierać manatki, by resztki urlopu spędzić, gdzie się da.

Edward Kozikowski

terami: IDEALISMUS, ALPINISMUS, MORIALITA, EUGENIKA, SOLIDARITA. Wyuszczone miedzy innymi tworzily wrocnie niezwykly skot: JAMES — nazwe organizacji taterników słowackich, którzy jeszcze w początkach lat dwudziestych przybrali sobie tak szczytne hasła.

Nie mogłem nigdy dowiedzieć się jaki jest tego właściwy sens, zwłaszcza zagadkowego „morialita”. Skłaniałem się już do przypuszczenia, że słowo przeczytałem błędnie i brzmi ono „moralita” — coś jak moralność. Ale mój słowacki przyjaciel Otto H. zaprzeczył: — Morialita, memento mori, rozumiesz? — Nie trafiło mi to do przekonania: memento mori, ładna zachęta do wspinaczki...

Szybko przetrzuciśmy karty Jamesackie, rejestrujące poważnie grupowe, łatwe wyreczki. Czasem, jak as z talii wyskakiwał bilecik praskiego inżyniera, lekarza z Morawskiej Ostrawy, kresiarza. Nawet studenci mieli własne wizytówki z adresem i telefonem domu akademickiego. Pojedynczo przepływały przez palce skromne karteczki z polskimi nazwiskami.

Róśli stos przeźrzanych papierków, oto już lata 1947, 1946. Nazwiska powtarzały się, wywoływały z pamięci chód, głos, uśmiech człowieka. Zdzisław Saturninowicz, „Satur”, przysadziły, z nieodłączną fajką, dziś już powoli przechodzący do legendy; dr Tarnowski, mamiak o zgrzybliwej twarzy, jeszcze kilku. Oni — to cały dorobek 1945 roku. Przejrzeliśmy dopiero połowę puszki: czyżby od wojny nieopóźniona? Zanurzam rękę, trzymam plik wyciągnięty z walca — lata wielkiej burzy. Przekladam je tym razem we właściwej kolejności. Rok 1940 — nic, 1941 — tylko parę biletów. Wśród nich jeden, datowany z maja, niemiecki: „Josef Raudolter, St. Jacob, Deffregertal”. Urlopowany żołnierz? Urzędnik okupacyjny? Sportowiec? Nie podał niczego poza nazwiskiem, datą i adresem. Może po prostu stęskniony za górami Tyrolczycy? Nie wiadomo.

W 1942 roku przyplwył kurs Jamesu, dużo luźnych turystów, paru Polaków. To samo w następnym sezonie. Jeden z biletów przyjaciel mój długo zatrzymuje w ręku. Uśmiecha się smutno, kiwa głową: — Kaszewski, Franek Kaszewski. Kolega Jurka... w powstaniu. Głupio, ostatniego dnia...

Obaj patrzymy na mlzerny strzęp b'bulastego, zeszytowego papieru. „4. VIII. 1943. Anna Charasin, Franciszek Kaszewski. Pd. filarem. 3n30.” Nic więcej.

Siedzimy w milczeniu. Zegarek wskazuje trzecią. Ostrożnie wysypuję pozostałą zawartość blaszanej tulei na rozpostarty płecak. Im głębiej, tym mocniej ubita, nienaruszona przez lata. Czytamy głośno daty, nazwiska, opływa nas fala przeszłości, bezpowrotnej, spopielałej, zapomnianej.

Gdzie są dziś ci wszyscy, którzy na skrawkach kartonu kładli tu ongiś swój podpis, ręką wyzwoloną od uścisku granitu, z radosnym sercem, zwycięską lekkością zdobycy? Widzę ich, jak czynią to pobłażliwie, z ironią, która często towarzyszy naszym poczynaniom, kiedy odpada z nich skorupa codziennych trosk. Iluż z nich żyje? Nie wiem, skądże mógłbym znać losy ludzkiego potoku, każdej kropki sączącej się tu przez lata. A przecież parę nazwisk przyciąga wzrok, budzi uśpioną pamięć. Oto prof. Koszutski, który za dziewięć lat spłonie w Oranienburgu; zaginiony w wrześniowej obronie Warszawy malarz, przewodnik tatrzańskich zastrzelony w przeddzień wyzwolenia. Oto student, który zginał w getcie, a wiatr przemieszał jego popioły z ceglany gruzem. Nie został żaden kształt odcieniony jego rękami, żaden ślad na ziemi: a jednak tu, w pustce kamiennych złomisk trwa znikomy szlak literackich rzuconych kapryśnie na papier — widzialny, namacalny znak istnienia.

Przelatują nam przez palce białe platy, patrzymy po sobie, jest rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Kim jesteśmy, ustawieni w tym samym szeregu, tak samo smakujący na wargach cierpki, soczysty owoc życia? Czym jesteśmy lepsi, czym mądrzejsi, gdy i nasze ręce ujmują pigro i kresla wyzwanie złudnie wymierzone naprzeciw idącemu czasowi, drobny symbol ulotnego czynu?

Kosmate łapy chmur kołują nad szczytem, wiatr szamocze się w krzywych oknach grani. Niesiona podmuchem pierwsza kropla żarłocznie wgrzyza się w papier. Zgarbiamy wszystko z powrotem: z trudem miesi się w ciasnym otoku. Schodzimy wśród oślizłych skał, opleceni cienką siecią deszczowych strun. Coraz dalej i wyżej zostaje szczyt, coraz głębiej zapadamy w mroczną misę doliny. Grają podziemne potoki, wiatr omiata wilgoc traw; mozołnie drążymy serpantynę ścieżki, wydeptanej, wygładzonej tysiącem stop. Noc wiąże już opaski mgieł wokół gór, zapala samotne światło schroniska. Powiew szusujący warkocze kosodrzewiny przynosi odległe głosy i szereg podkutych butów.

Niepogoda. Jutro przyjdzie nam zapewne długo wypooczywać między nowymi przyjaciółmi, słuchać pieśni i opowieści w obcym, a zarazem bliskim języku. Lecz pojutrze chyba znów rozżarzy się słońce nad oszronioną doliną. Czekają nas splecione nici ścieżek, jak zwykle pogna nas ku ścianom zbłąkany trochę niepokój młodości i niecierpliwość serca. Tylko, że dzięki wyblakłej garści papieru znalezionej na Pysznym Szczytce będziemy oddać surowiej wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu.

Andrzej Ziemiński

ANDRZEJ WIRTH

Paradoks o teatrze

A.: — Jak się masz! Widziałeś Fabbri'ego?

B.: — Nie widziałem, bo nie mogłem dostać biletu.

A.: — A ja — bo dostałem bilet. Sądziłem, że daje to jakieś uprawnienia. Stoję spokojnie, patrzę jak tłum intruzów łamie kości. Kiedy się przerzedziło wyciągam bilet. I cóż powiesz? Okazuje się, że to ja jestem natrętem, bo wszystkie miejsca zajęte. Oto jak nie popłaca legalność.

B.: — Mnie się poszczęściło. Spotkałem Teofila, który widział przedstawienie w Paryżu. Od Teofila dowiedziałem się jak wygląda teatr Fabbri'ego.

A.: — To świetnie! Jeśli przed z nas słyszysz o przedmocie, możemy dyskutować. I tak spór nasz lepiej będzie udokumentowany od wielu teatralnych dyskursów. Co zatem sądzisz o arlekinadzie?

B.: — Trzeba raczej zapytać, czego nasz teatr może się nauczyć od Francuzów. „Rodzina

muszą powrócić na deski teatru i wejść w zakres elementarnych aktorskich umiejętności. Muszą powstać utwory dramatyczne odwołujące się do wszystkich środków wyrazu jakimi rozporządza teatr. Tego moralu uczy nie tylko i nie najbardziejnie kompania Jacques Fabbri. Ten moral zawiera się w sztuce teatru Workshop i w grze amatorów z londyńskiej „Unity” i — przede wszystkim — w wielkim historycznym przykładzie Chińczyków. Zresztą nie Fabbri'emu zawdzięczam najgłębsze teatralne przeżycie Festiwalu. Fabbri rozmieszał mnie absolutnym poczuciem komizmu sytuacyjnego, olśniewał paradytycznym wdziękiem rozgrywanych na kurtynie intermedów, ale i nudził próbami ożywienia umarłej konwencji. I w końcu więcej autentycznego ludowego teatru znalazłem w skromniutkim wodewilu Mc Colla,

końca. To naprawdę świetnie zrobiona sztuka, chociaż o boksie. Ma rzadką zaletę: autor wiedział dla kogo pisać. Pisał dla widowni, która nie rozumie po angielsku. Budował więc na sytuacjach, na piosenkach, na pantominie i tańcu. Streszczenie jest niepotrzebne, bo sztuka przemawiała najbardziejnie uniwersalnym językiem teatru. Forma przypomina rewie, tę rzeczysławą spadkobierczynię commedia dell'arte. Aktorzy grają dla widowni, sztuka oscyluje między skecem, balladą, piosenką, tańcem — podany mi na prawach „numeru” i akcją wiążącą w całość te „numery”. Jest tu przy umiejtności scalania autonomii elementów współtworzących widowisko, która tak podobała mi się u Santelli'ego.

B.: — Już cię ogarnęła pasja atomizowania tekstu. Zapominasz, że w końcu sztukę robią aktorzy. Czy zauważyłeś, że teatr Mc Colla nie ma właściwie aktorów charakterystycznych, choć ma charakterystyczne role. Johnny nie jest urodzonym bokserem lecz r o b i boksera na scenie. Wzruszył mnie grymas, imitujący „bokserką szczękę”. Moje gusta teatralne są spazmowane: od szczęki naturalnej bardziej podoba mi się szczęką dobrze udana. I jeszcze jedno. Przyjrzyj się, jak ci młodzi Anglitcy śpiewają. (Zresztą dotyczy to i Francuzów). Nie jest to zwykły śpiew. Oni g r a j a śpiewających na scenie. A robią to tak naturalnie, że chciałbym, aby nauczyl się tego nasi aktorzy.

A.: — Bawi mnie twój naiwny dydaktyzm, wiara że można nauczyć się dobrej sztuki. Od normalnych woleł sądy opisane. Nie wiem, czy trzeba uczyć się od Anglików, ale wiem, że osiągnęli tę jedność środków, którą nazywamy stylem. Ostrość sylwetki rzuconej na jasne tło, dobitność gestu uwolnionego od naturalistycznych odruchów, umiejtnie szafowanie rekwizytem, naturalne wprowadzanie do akcji układów choreograficznych...

B.: — Jeśli chcesz być bardziej ścisły ode mnie, zaniechaj tych uogólnień. Widzieliśmy jeden program, i to grany w części przez amatorów. Nie wiele to mówi o stylu tea-



Le Capitain-Pedrolino

Rysunki Karola Ferstera

kręstwo Ilirii. Chciałem już zmienić zdanie o londyńskich amatorach, lecz pomyślałem, że jedna rola nie robi jeszcze teatru. Muszę jednak powiedzieć, że piosenki kabaretowe miały finisz i polot, jakich próżno było szukać w przybytkach muzyki, utrzymywanych przez warszawską gastronomię. „You are my Honey — sućkle, I am the Bee” — tę piosenkę śpiewam do dzisiaj, chociaż natura mego ucha sprawia, że każdej melodii nadaję kształt hymnu narodowego...

B.: — No widzisz, to jest ta rzetelność artystyczna, której trzeba się nam uczyć od...

A.: — Mój drogi, skończmy już z tą egzaltacją na festiwalowy moral. Jeśli jest napisane w górze, że będziemy mieli teatr nikożemny, daremnie byś się mordował, będziemy go mieli; jeśli jest napisane przeciwnie, daremnie oni będą się mordować, nasz teatr będzie o g r o m n y. Śpij więc spokojnie, przyjacielu.

B.: — A mnie się zdaje, że jednak trzeba się mordować, abyśmy mieli teatr o g r o m n y i uczyć się patrzeć jak w tym samym dążeniu mordują się inni. A wtedy można zasnąć spokojnie.

A.: — Byle nie w teatrze!

Andrzej Wirth

Starzy zakochani

„Arlekin” pokazała, jak szeroka kategoria może być humor sytuacyjny. Nawet zwykły kopniak może mieć choreograficzny wdzięk i wiele akrobatycznego polotu. Fabbri pokazuje cały bukiet kopniaków, ale też dowodzi, że nie tylko kopniakami stoi humor sytuacyjny.

A.: — Masz co chwalić. Te francuskie kopniaki nie rozśmieszyły nawet Tarna.

B.: — Ale stało się to nie przeto, iż Scaramouche nieudolnie kopie Arlekina. Fabbri nie przekonał nas, ani Tarna, że commedia dell'arte jest gatunkiem żywym, bo nie potrafił dawnej formy wypełnić treścią poruszającą współczesnego widza. I w tym słabość przedstawienia. Nie przewidywa jej ani godna podziwu vis comica Jacques Fabbri, ani paradytyczne talenty masek, ani uroki scenografii.

A.: — Odmawiasz teatrów Vieux — Colombier nowatorstwa. A ja myślę, że nowatorstwo może być czasem i w eksponowaniu treści starych. Czy nie widzisz, jak nowocześnie Santelli o p o w i a d a tę historię włoskich komediantów? Jak rozwija e p i c k a formę teatru? Nie koncentruje napięcia na pointach, lecz na przebiegu; nie buduje jednej sceny jako następnika poprzedzającej, bo każda jest skonstruowana dla siebie; rozwój akcji zastępuje monotonią; linie akcji — zygmatem, mechaniczną przyczynowość — skokami... A ta epickość budowy prowadzi do wybitnie n o w o c z e s n e j autonomii poszczególnych elementów: muzyki, słowa i obrazu. Bardzo po myśli Brechta budowane jest to widowisko, tak różne od brechtowskiego.

B.: — Nie przekonałeś mnie tą obroną nowatorstwa, bezradnego wobec treści. Co się dotyczy samodzielności elementów składających widowisko, jest ona faktem. Ale ważniejsza jest sama różnorodność tych elementów. I myślę, że jest w tym znów nauka dla nas: zapomnieliśmy jak wiele czynników współtworzy współczesny teatr, jak wieloma dyscyplinami rozporządza nowoczesny aktor. Sztuki i umiejętności decydujące zawsze o wielkości teatru znalazły się poza jego obrebnem. Taniec i akrobatyka, muzyka i śpiew, pantomina i wielki monolog

niz w tym wleogodnym przeglądzie dziejów jarmarcznej sceny.

A.: — Moje spotkanie z Mc Collem nie było entuzjastyczne. Po obejrzeniu sztuki granej niedawno w naszych teatrach nie miałem wysokiego



Jacques Fabbri Scaramouche

wyobrażenia o jego dramaturgii. A tu taki początek. Wychodzi konferansjer i mówi — „Streszczę państwu sztukę. Bokser Johnny porzuca trening. Próżno nakłaniają go do podjęcia ćwiczeń — trener i narzeczona, koledzy i znajomi. Wreszcie bokser Johnny daje się nomować. Wszyscy się cieszą”. Zmroził mnie strach bez nazwy i ukradkiem zacząłem się wycofywać. Boks nie interesuje mnie na ringu i nikt mnie nie zmusi, abym rozerki boksera oglądał w teatrze.

B.: — Zawsze łatwo poddawałeś się repulsjom. Ale tym razem nie omyliły cię; streszczenie jest poprawne.

B.: — I rzeczywiście! Był tłok i musiałem rzecz obejrzeć do

tru. Jeśli tęskniłś do teorii zaczękać do grudnia, będziesz miał cały Workshop w Warszawie. Ale przed tym powiedz, jak oceniasz amatorów „Unity”?

A.: — Widziałem program składający. Obyczajowa scenka O Caseya „Koniec początku” — amatorstwo bez wdzięku i drażniąca naturalistyczna maniera. Pokazali też kabaret, przy czym okazało się że nie tylko w Polsce kabarety żyją z odgrzewania historii kabaretu. W tych historycznych rolach wcale współcześnie wypadają Cecilia Joseph i Anne Watt Panna Watt w niewiele mawiającym fragmencie „Wieczoru trzech króli”, w pożyczonej za obszernej sukni, była Oliwia, za którą oddałbym

EWA FISZER LIST

Mój dom leży nad Wisłą
Mówią: to niebezpiecznie,
Nad tą rzeką niedlugo
Miewa się dom.

Mój dom stoi niedlugo
Z cegieł z mialkiego gruzu
Pozlepianego żmudnie
Potem i krwią.
Ale szyby są przejrzyste jak dzień,
Ale ściany są bezpieczne jak noc.

O cóż chodź?
Aby pilnie domu strzec
Aby strzec jak oka w głowie
Powiedz,
pomożesz?

TRZY PORTRETY

I

W bardzo ciasnym pancerzu naokoło serca
Kłaniasz się nazbyt nisko i nazbyt sprężyście,
Pancerz trzaśnie ci z hukiem i rozsadzi żebra
I po raz pierwszy w życiu nad czymś się zamysłisz.

II

Gdybyś miał fujarkę,
to byś czasami płakał.
Gdybyś chodził nad Wisłą,
byłbyś czasami w domu.
A gdybyś nie miał pióra,
pewnie byś nie pisał.

III

O stare kamienie domu
rozgrzewasz ręce.
O nowe malunki Rynku
rozgrzewasz oczy.
O co serce rozgrzejesz
pisząc jego połowę?

KORESPONDENCJA

O zespolach
adwokackich
„taganiactwie”
i „ehodach”

Ktoś to nie jeden, gdy uwagi te przeczyta, wspomni przysłówie o stole i nożach. Niemniej jednak nożyce musiały się odczuwać, już z tej prostej przyczyny, że akcja artystów w Łodzi była „Aowakat i Koez” (Nowa Kultura Nr 31) nie jest ścisłej zlokalizowana. Należy więc przede wszystkim stwierdzić, że krukci gios polemiczny o adwokatach „zerowcy” pomieszczone były w gazecie ściennie związane z adwokatami w Łodzi. Niechajli stwierdzenie rehabilituje inne ośrodki adwokatury, które mogły być w domysłach czytelników niewinnie obwinione o szerzenie herezji. Gazetka ścienna związku adwokatów ukazuje się w pokoju adwokackim w Łodzi, nie w mieszkaniu i porusza wewnętrzne problemy adwokatury w formie dyskusyjnych wypowiedzi, składanych w większej w pokoju tym skryżce redakcyjnej. Ta sama droga dotarła do redakcji gios jednego z kolegów w sprawie adwokatów nie osiągniętych z zespolami w Łodzi. Nie był to ani gios redakcji, ani też inaczej autoryzowany. Był to po prostu gios, co zresztą wynika z treści, przytoczonej w artykule Wł. Rymkiewicza, upominający się o polemiki. Polemiki takiej nie było, choćby z uwagi na sympatyzm nie przedstawiano przez autora kolega mógł się na nią z pewnością zdobyć; było natomiast coś więcej: walne zebranie związku adwokatów jednomyślnie wypowiedziało się przeciwko próbom wyeliminowania z zespolu radców prawnych, tj. tych właśnie kolegów, których obroty w zespolach są zazwyczaj mniejsze, a w rzadkich wypadkach istotnie oscylują wokół kwot znikomych.

Wyraźne podkreślenie charakteru wypowiedzi, która inspirowała autora artykułu, spowodowało zaangażowanie do właściwych wymiarów, co zwróciło uwagę na uciążliwość zebrania nadawczych wypowiedziowym wnioskom wolał trafności. Brak jednego i drugiego spowodował wypaczenie faktów, które autor mógł należeć zaobserwować przy współzależności przedstawicieli adwokatury łódzkiej, szczerze mówiąc, nie było to rozpoznanie w zarobkach adwokackich.

Zagadnienie zarobków jest istotnie skomplikowane, mimo, że autor przytacza to określenie z sarkazmem, jako pochożące od Srebnickiego. Trzeba przecież przyznać, że jako zagadnienie występuje ono w równej mierze i w innych zawodach. Czyż autor nie widzi, że zarobków nie obserwują wśród siebie literaci, lekarze, plastycy, architekci, artyści, naukowcy? Sprawa rozpoznań zarobków jest studiowana przez organy adwokatury od dłuższego czasu. Rzeczywista trudność polega na skłóceniu zjawiska wady pomocy prawnej do zwrotu nie na dno innego adwokata, niż sam go sobie obrał; słusznie, czy niesłusznie. W zupełnie odosobnionych wypadkach trudność może wynikać z obiektywnego braku kwalifikacji, a nie z niechęci do wpłynięcia na listę adwokatów. Sądzę, że bezkompromisowe zwalczanie poglądu, iż np. w tym ostatnim wypadku mogłoby być pożyteczniejsze chwytnie się przez adwokata innego zalecia niż praktyka kradka, nie może być uznane za słuszną, a już nie za wyjątek. W tym miejscu na listę adwokatów. Sądzę, że bezkompromisowe zwalczanie poglądu, iż np. w tym ostatnim wypadku mogłoby być pożyteczniejsze chwytnie się przez adwokata innego zalecia niż praktyka kradka, nie może być uznane za słuszną, a już nie za wyjątek.

Podobnie jak w innych zawodach, osiągnięcie stanu ogólnego zadowolenia z zarobków jest w adwokataturze rzeczą niemożliwą, już z tej prostej przyczyny, że nie wyobrażamy sobie, co zresztą w ujęciu literackim nie można mieć pretensji, jest zdecydowanie pozytywną stroną artykułu. Szkodziłoby tego zjawiska przesadzić nie można; można jednak tak je przedstawiać, jakbyśmy mieli w sobie jakiś inny łatwy do wykręcenia i jak gdyby tej właściwości zjawiska nie wykorzystywano dla jego zwalczania. Tak to przedstawia autor czytelnikom i to musi budzić wśród nas zastrzeżenia. Rada Adwokacka rozpoczęła swą działalność właśnie od walki z naganiactwem. Przejawiała się ona nie tylko w odezwach do kolegow, nie tylko znaną na kierowniczych stanowiskach w zespolach, nie tylko w zwolnieniu bez wypowiedzenia dwóch kobiet woznych zespolowych, które były podejrzanym o naganiactwo, lecz także w bezpośredniej akcji w stosunku do adwokatów korzystających z naganiactwa. Na przestrzeni roku zapadły 4 orzeczenia dyscyplinarne zawieszające w czynnościach zawodowych adwokatów Izby Łódzkiej za wykonywanie kłopotliwych czynności, które były wykonywane przez adwokatów, którzy nie licząc się z powagą zawodu. Prowadzenie walki tej Rada uważa za swe zadanie naczelne, już nie tylko w imię indywidualnych interesów krzywdzonych adwokatów, lecz w imię podstawowych zasad etyki i interesów obywateli wprowadzanych na drogę w błąd. Nad każdym z „necenasów” sławnych wisi groźba najsurowszej odpowiedzialności za korzystanie z naganiactwa. Prawda jest jednak, o czym pisze autor, że źródła naganiactwa są rozliczne. Niestety, obejmują one czynników wychodzących z wymienionych w artykule. Dlatego walka z naganiactwem jest niezwykle trudna, a trudność jej wymagać klientów, wyobrażając sobie, że ich interes w zafajeniu faktów naganiactwa jest solidarny z interesem adwokata, do którego stał „naganiacz”. Do autora artykułu można więc mieć żal, że tak sympatycznie potraktował to pożałowania godne zjawisko i zilustrował je przypadkami woznych, o których zapewne słyszał, nie nie wspomniawszy o tym, że władze adwokatury potępiły je bezwzględnie i zwolnili z pracy. Odnosi się to samo do niektórych kierowników zespolów i ich zastępców, którzy usunęli zostali ze swych stanowisk w drodze nadzoru.

Słabiej podkreślony jest w artykule drugi bardzo szkodliwy czynnik naszego życia zawodowego, a mianowicie dyskutowanie „chodów”. Trzeba to wręcz podkreślić, iż zarzut ten w pierwszym rzędzie dotyczył b. członków magistratury i prokuratury, wpisanych na listę adwokatów w okęgach tych, w których bezpośrednio przed tym pełnili funkcje urzędowe. Osoby te wchodziły do adwokatury otoczone nimblem niezwykłych możliwości. Jest niewątpliwe, że możliwości te w istocie rzeczy w ogóle nie istnieją, albo są nie istotne, jednakże bliskość wizeru w nie, a to powoduje, że reguły powołano nie zawodowe. Oczywiście powołanie to musi się odbić na praktyce adwokatów pracujących normalnie. Dlatego co pewien czas obserwujemy na firmamencie nowe „gwiazdy”, przywracające swym sztucznym blaskiem rzetelną pracę wykwalifikowanego adwokata.

Adwokatura nie ustaje w staraniach, aby nie dopuścić do wykonywania praktyki w dawnych siedzibach urzędowych, niestety, starania te nie daly dotąd zadowalających rezultatów i gwałtownie nadchodzi.

To są te przypadki, o których mówił Srebnicki, mówi jednak za mało.

Zygmunt Albrecht
adwokat
Włocławek Rady Adwokackiej
w Łodzi

Bogusław Kogut

mych „Złotych okien”, a jest po prostu brakiem tej cierpliwości, o którą prosi autor w przedmowie do nowego tomu swoich utworów. Przyznaje się do niecierpliwości — do tej wady, czy zalety, którą epoka nasza wyróżnia się spośród poprzednich. Jest to epoka ekstremistycznych żądań i nic dziwnego, jej historia ani razu dotąd nie zatrzymała się w pół kroku.

Poza tem budzi moje wątpliwości problem Aleksandra i Marka. Złazszcza Marka, bo dzieje Aleksandra są jasne i bardzo piękne. Nie mogę jednakże zrozumieć związku logicznego wypadków, poprzedzających zdradę Marka. Wszystko jest jasne do chwili, w której Marek zdecydował się wejść do getta. Tym gestem pogardzają mieszkańcy getta, wzrusza nad nim ramionami autor. „Pisał o Łazienkach, a przyszedł umierać na Mławską”. Tak, ale Aleksander właściwie zrobił to samo. Albo jedno i drugie było kabbotyństwem, albo jedno i drugie odruchem dumy. Dlaczego Marek zdradził? Zawsze był słabym, tchórzliwym człowiekiem. Dowiódł tego Józef opowiadaniem o wrześnieowym epizodzie. Był więc tchórzem. po prostu nie więcej tu nie widzę, zapewne niezgodnie z intencją autora, który od Markowego ojca — neofity, co przed narodem uciekał, poprzez wrzesień, poprzez kabbotyńską decyzję wejścia w mury, aż do zdracy jednej — świadomej, i drugiej — już podświadomej, ustala jakąś logikę, jakąś konieczność — w moim przekonaniu, fikcyjną, mistyczną. Przypięczeniem mistycznego charakteru owej konieczności i owej logiki jest zakończenie „Złotych okien”.

Marek, już nieprzytomny, powtarza adres Elżbiety, zandarmi „na wszelki wypadek” sprawdzają ten adres, a Józefowi wydaje się, że w samochodzie policyjnym siedzi Marek i czyta gazetę. Marek urasta w symbol zdrady. Dlaczego? Był zdracą, ale dlaczego symbolem? Świadczy tym o sobie, o niczym więcej.

Bohaterowie „Złotych okien” są podobni solistom, którzy nie mogą przekrzywić huku wielkiej orkiestry. Szeroko otwierają usta, rozkładają ręce, ale nikt nie słyszy ich spraw. Historia ich pochłania, zalewa, przetacza się mimo. Każda epizodyczna postać, choćby ta

nie chcieli, musieli tam być i tam zginąć. Cały problem moralny powstania sprowadza się do tego, że ludzie walczyli, chociaż wiedzieli, że i tak zginą.

Pozatym Rudnicki usunął obrazy walki na margines swej opowieści. Walka toczy się za sceną, prowadzona przez anonimowe cienie. Natomiast na pierwszy plan wysuwają się ludzie, którzy chcą uciec, albo ukryć się. Budują bunkry, wykupują „udziały” w schronach, wkopują się pod ziemię, drążą tunele, próbują wydostać się za mury. Rozważają czy uciekać, decydują, kto powinien uciekać, kogo należy poświęcić, kogo uratować. Nawet Józef, który jest bojowcem i o którym wiemy, że walczy, kniknie w cieniu, gdy ma chwycić za broń, zjawia się, kiedy zamierza przechodzić, albo organizować przejście.

Oczywiście, że wszyscy szukali ratunku, ale przyznaj, że przez cały czas czytania „Złotych okien” prześladowała mnie myśl o tych, którzy nie mieli pieniędzy i złota na opłacenie przejścia, albo na wykupienie miejsca w bunkrach i dla których nie istniał w ogóle problem wyboru między ucieczką, a pozostaniem, kryciem się, a czekaniem. Co się działo wśród ludzi, którzy mogli już tylko czekać? Wśród nędzarzy, wśród starców, chorych? Wśród tych ludzi właśnie rozgrywała się tragedia w całym, żadną okolicznością sprzyjającą nie złagodzonemu wymiarze. Jak tam, daleko od murów, w samym środku getta wyglądał moment powstańczej decyzji?

Trzeba pamiętać, że ci, którzy w óle doszli do getta, przetrzymali wszystkie poprzednie akcje i doczekali powstania, stanowili warstwę najodporniejszą i najlepiej zabezpieczoną — biedni i słabi zginęli zapewne wcześniej. Niemniej wydaje mi się, że autor „Złotych okien” wciąż jeszcze krąży zbyt blisko murów, nie wychodzi poza krąg ludzi, którzy jeszcze mają szansę i dla których problem korzystania z tych szans jest jeszcze rozstrzygalny, jeszcze nieprzesadzony. Wydaje mi się, że autor „Złotych okien” nie zszedł dotąd na samo dno piekła, tam, gdzie wszystko już było przesądzone. Zdaje sobie sprawę, że to co pisze nie dotyczy może sa-

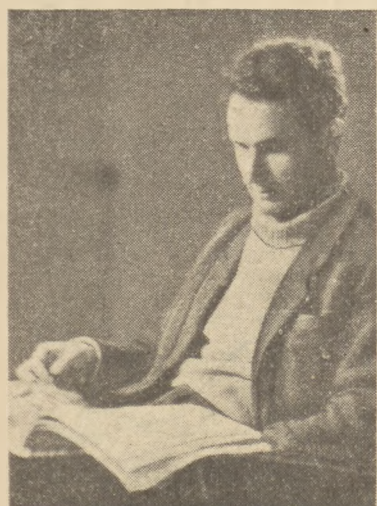
Elżbieta Jackiewiczowa — Wczorajsza młodość. „Nasza Księgarnia”, Warszawa — 1955.

Długo spierałem się z sobą o tę książkę. Bowiem „Wczorajsza Młodość” należy do tych lektur, które budzą nasze omglone już wspomnienia z własnej „wczorajszej” młodości, przybliżają na chwilę oddalające się szybko sprawy dzieciństwa, niebieską tarczkę z numerem na polatymy przy lokciu i za krótkim rękawem, wywiadówki, wagary... Podobno im dalej w życie, tym bardziej skłonni jesteśmy przeceniać dzieciństwo, choćby nawet tym chętniej wybaczymy ich pęknięcia i słabości, im bardziej opisywane sprawy pasują do naszych rzewnych wspominków. Z drugiej strony niałato jest przejść do porządku nad pokusą pokrzywienia o schematyzmie, którego bakcył sprawi, że to, co mogło być dobrą powieścią, stało się w znacznej mierze kronikarską relacją, nieco za długą jak na wykład; niesposób pogodzić się z artystycznym zaprzeczaniem imponującej wiedzy o przedmiocie.

Powieść Jackiewiczowej, to właściwie kawał zyciorysu nauczycielki szkół średnich w latach międzywojennych, zyciorysu beletryzowanego nie zawsze najbardziej udatnie. Bohaterka, Ewa Witkowska, od początku książki pozuje na „świętego za żywota”. Poświęca się do poleg (oczywiście — dla pracy, po swojemu pojętej idei) nie siląc się nawet udawać, że żyje. Ta potencjalna zdolność samowyrzeczenia, nagromadzona zaraz na wstępie powieści, niepokoi czytelnika. Na szczęście bohaterka nasza pod koniec powieści (ściślej — w trzeciej części) zaczyna nabierać własnych rysów, na wzór i podobieństwo człowieka dźwigającego także własne życie, a nie tylko autorskie tezy. Ta metamorfoza końcowa nie jest wprawdzie zbyt pełna i całkiem zadowalająca, zmusza jednak recenzenta do szukania jakiegos kompromisu między wymaganiem artystycznym a szacunkiem dla bogactwa realiów i wiedzy autorskiej. I tu się zaczyna trud szyćłowy.

Jeśli widzimy kobietę, młodą i pełną życia, która zamyka się w kręgu spraw szkoły jak w klasztorze a nie widzimy przyczyn dla których tak się dzieje — to oczywiście jesteśmy zrytowani. Z jednego — dwóch zdań, wspominających trochę po plotkarsku tragedię małżeńską Ewy, nie wynika przecież jakaś uzasadniona konieczność, dla której Ewa musi przestać prze-

GUERNICA



Adolf Rudnicki — Złote okna. Żywe i martwe morze. Wyd. II rozszerzone. S. W., „Czytelnik” 1955.

Ukazało się nowe wydanie Adolfa Rudnickiego, rozszerzone o kilka drobniejszych utworów oraz o „Złote okna” — dawno zapowiedzianą i długo oczekiwaną opowieść o kwietniowym powstaniu warszawskiego getta. Nawiasem sędzę, że lepiej było wydać „Złote okna” osobno i nie narażać tych czytelników, którzy mają pierwsze wydanie „Żywego i martwego morza” a chcą mieć teraz „Złote okna”, na kupowanie grubego tomu zawierającego znowu wszystko od „A”. Ta metoda wydawania Rudnickiego przypomina trochę piosenkę „Dziadek za babką, babka za rzepką” i tak dalej w nieskończoność. Ale mniejsza o to.

Dlaczego czytelnicy Adolfa Rudnickiego ze szczególną niecierpliwością czekali na „Złote okna”?

Tematem, który powołał do życia najlepsze karty dotychczasowej twórczości tego pisarza, były dzieje Żydów wyobcowanych ze swego społeczeństwa, Żydów ukrywających się, wędrujących przez dżungłę strachu, nienawiści i chęciowości, dzieje ludzi osamotnionych, postawionych sam na sam wobec niebezpieczeństwa, skazanych tylko na siebie, uzbrojonych tylko we własne wartości. Powracał problem wierności, a między wiernością narodową a człowieczą godnością rysował się znak równania. Jak umierać, skoro umierać się musi? — oto pytanie, którym kończyło się „Wniebowstąpienie”, oto pytanie, które zamykało dzieje „Wielkiego Stefana Koneckiego”, czy „Ginącego Daniela”. Pytanie to było wielką bramą wiodącą poza mury getta, poza martyrologię jednego narodu na szlaki wszystkiego ludzkiego cierpienia.

Adolf Rudnicki nie pisał dotąd ani o getcie, ani o powstaniu z pozycji człowieka przebywającego po tamtej, żydowskiej stronie murów. Pisał z pozycji człowieka krążącego wokół murów i rozważającego, czy godniej jest umierać z narodem, czy też szukać szans życia poprzez zaparcie się przynależności.



Ze szkicownika festiwalowego Janusza Stannego

W dużym domu czyli „Złota Czaszka”

Na kolonii, która ogółem składała się z małych jednorodzinnych willi, zamieszkiwanych zresztą teraz przez rodziny bardzo liczne i zgromadzone w wielkiej ilości — była tylko jedna kamienica, ogromne, czteropiętrowe, blachą kryte domiszcze, własność adwokata Kornika. Ogrom swój zawdzięczała ona wypadkowi, że adwokat kupił plac dwadzieścia lat temu, że właśnie w tym miejscu wytyczona została następnie Aleja Niepodległości, zaś Kornik miał pieniądze, prowadził bowiem interesy koncernu „Grajewo” a wszystko, co zarobił, kładł w budowę. Musiał to być sprytny adwokat, nie ulegało też wątpliwości, że kiedyś skończył uniwersytet, choć nie wyglądał na inteligenta. Miał wielką, okrągłą, czerwoną twarz, czubioną rozłożystymi wąsami, był wielki, tęgą, bizuczaty, a żona była do niego podobna, bo i jej sypał się ciemny wąsik. Przed wojną zaczęli zamieszkać w swojej kamienicy, ale podczas powstania uciekli, a kiedy wrócili, w mieszkaniu ich zakwaterowały się już dwie inne rodziny. Stracili więc mieszkanie, stracili plac — bo miasto Warszawa przejęło wszystkie grunty — ale kamienica została i choć nie przynosiła nic prócz zysoty — Kornik uważał ją za ważną życiową pozycję.

Utrzymać to, co miał, było dla niego najważniejszą sprawą życia. Robił wszystko, żeby tego dokazać i choć taki na przykład Saduła zrzekł się swego domku — a wszyscy przecież pamiętamy, jak dwadzieścia lat temu mówił „choruję na płaski dach” — pozbył się domu, bo irytował się, że nie z niego nie ma, a lokatorzy nie chcą płacić podatków. Płaski dach nie była to widać bardzo ciężka choroba, bo wreszcie zrobił dach łamany, mansardowy, szkoda mu było miejsca, które można było wyzyskać, robiąc jeszcze dwa pokoje na górze, a ci, co zrobili płaski, nie mieli już poddasza ani nawet góry do bielizny.

Tymczasem po wojnie okazało się, że za cenę wyrzeczenia się paskiego dachu, na który chorował, kupił sobie tylko więcej kłopotów. Górę zajęli lokatorzy z trojgiem psotnych dzieci i trudno było z nim wytrzymać. Niby człowiek jest u siebie, a właściwie nie u siebie, prawda? Przy tym ludzie mieszkali za grosze, kiedy to były w Warszawie takie tanie mieszkania? Nie nie chcieli robić, rwali kwiaty w ogródku, a do piełenia to ich nie było. Gniewali się na państwo polskie, że za cenę trzech bochenków chleba (przed wojną musieliby zapłacić za mieszkanie trzecią część zarobków) nie mają dozorcę i wszystkich wygód. Lepiej pozbyć się kłopotu!

Lokatorzy Kornika musieli płacić tak zwane „świadczenia”, chociaż woda została doprowadzona zaledwie parę miesięcy temu, opłacać administratora i podatki do Stowarzyszenia Prywatnych Właścicieli Nieruchomości. Ponieważ nie zyczyli sobie takich ciężarów (a wypadło tego na rodzinę po trzydzieści złotych razem z reperacją części dachu, którą zerwał huragan), — sekretarka musiała pytać na dzielnicy, czy aby na pewno jest to ich obowiązek. Owszem, to ich obowiązek, przecież rozumie się samo przez się, że tam, gdzie właściciel nie ma z domu, nie może też ponosić ciężarów, związanych z jego utrzymaniem.

Helenka też tam mieszkała razem ze swoim panińskim synem, miała kilteczkę, tyle, że samodzielna z wejściem od schodów. Każdy jej zazdrościł, a Kornik chętnie by ją usunął, gdyby tylko mógł. Ale nie mógł. Czekał pretekstu.

Koszt blacharza wynosił około dwóch tysięcy złotych i jeszcze bla-

charz klócił się, że nie zapłacono wszystkiego od razu. Saduła — ale nie tamten, który kiedyś chorował na płaski dach, tylko brat jego, metalowiec — założył własne pieniądze i teraz nie mógł ich odebrać. Sam musiał zbierać od lokatorów; bo nikt nie chciał być mężem Saduły, nie chciał być mężem domu, gdzie się wszyscy między sobą kłócą.

Kornik przyszedł do sekretarki, zatrącił się swadą o to i owo, sformułował niemało cennych myśli dotyczących polityki mieszkaniowej, a nawet zagranicznej. Chodził przez cały czas po pokoju, siadając tylko niby w rozlgnięciu, żeby za chwilę znów powstać.

— Kłopotów powyżej uszu — i zaraz podniósł rękę do ucha, żeby pokazać, pokąd ma tych kłopotów.

Patrzyła na niego ironicznie, choć z pewną pobłażliwością, jak na pokonanego wroga, który miota się, ale już nie może szkodzić. W jego domu mieszkali teraz robotnicy, a że nie wszyscy jeszcze są uświadomieni, to trudno, ten proces jest właśnie w toku, na to pracujemy. Czego właściwie chciał, na co czekał broniąc tak usilnie tego swojego domu i prawa do wyzysku? Andersa na białym koniu, trzeciej wojny światowej teraz, po Genewie? Ale potem, niestety, przyszedł jej znowu na myśl, że ostatecznie lokatorzy sprzecają się między sobą, ale dom musi być wyremontowany i jakkolwiek praca myślowa odbywa się w tej chwili w głowie właściciela, karmiąc złudzenia i nadzieje, on sam, obiektywnie wzięwszy, dobrze robi, że dba o kamienicę. Ale nie mogła pozbyć się niechęci, rozzierana między dwa sprzeczne uczucia, był jej bowiem wstrętny, jako obrońca znieprawdzonej przeszłości.

Gniewała się na niego tym bardziej, że początkowo brał ją pod bajer, bo to niby on ma dom (wprawdzie czteropiętrową czynszową kamienicę) i ona ma dom (trzyizbowy, jednorodzinny), więc muszą się jakoś dogadać. Pomyślała ze złością: niech psiaakrew płaci! Ale sami robotnicy, sam Saduła, (który zresztą był z nim na wodce) byli innego zdania. Przeciwnie, to od nich należało się pieniądze. Saduła będzie zbierać i trzeba zrobić zebranie lokatorów, tylko sekretarka musi przyjść, bo trzeba inteligentnie załatwić z administratorem.

— Czy pani będzie łaskawa? — Oczywiście.

Jako światowiec, ze swobodą zmieniając temat rozmowy.

— A cóż pani mówi w sprawie zjednoczenia Niemiec? Nie trzeba było rozbijać, to i teraz nie trzeba by jednoczyć. Nie, ja tak tylko mówię. A żeby Piłsudski żył w 1939, nigdy by do tego doszło.

Przebiegli hałaśliwie po pokoju, jego bystra twarz znów zmieniła wyraz. Tworzył mity, wspóldział w ich rozpowszechnianiu, każda okazja była dobra.

— Tego się oczywiście teraz nie wspomina, ale przecież pod koniec tego życia już, już miało dojść do wojny z Niemcami, wisiała na włosku.

Podniosła na niego oczy.

— A traktat?

Nie zmieszało go przypomnienie.

— No tak, traktat, ma pani rację, ale to już przecież po jego śmierci. Ale zasiedzialem się, do widzenia. Więc pani przyjdzie!

Poszła, choć za godzinę nadawano w radio „Złotą Czaszkę”. Nie wszyscy lokatorzy przybyli. Różne tam były stanowiska, ale wielu uważało: u mnie nie cieknie, niech ten płaci u kogo cieknie. Rzeczywiście u niektórych ciekło po ścianie i ci bez wahania decydowali się płacić. Saduła płacił, choć nie był bezpośrednio zainteresowany, mieszkał na pierwszym piętrze, paru innych też, ale większość przeczekiwała dyplomatycznie, patrząc, co z tego

będzie. Kornik był obecny, ale złościł się, nerwy go ponosiły, jakże, jego dom, dla niego mieszkanie nie ma, a tych, którzy mieszkają, trzeba błagać, by płacili za reperację. Kiedy sekretarce udało się wreszcie wytłumaczyć obecnym sytuację — bo przecież innym razem wydarzy się to komu innemu, a wtedy kto pomoże? — poniosło go, zapomniał się i biegnąc po pokoju nawymyślał wszystkim.

Mówił to wszystko głośno, ciągle tym samym znudzonym, obojętnym tonem, który przyjął na cały czas trwania zebrania. „Macie mnie” — zdawał się mówić — „załatwiam takie blahe sprawy, ale nie takie się załatwiali, ho ho!”. Komplemентаł ją przy wszystkich, nie wiedząc przecież, czy młoda robotnica nie ma przy sobie męża, któremu może się to nie podobać. Ale nie miała, nie, nie miała męża. Cóż,

— Ja panią przepraszam, ale to pilne, bardzo pilne. Czy ja mogłabym mieć odpis tego protokołu? Bo jak słyszę pani robiła protokół.

— Nie — odpowiedziała ostro, jak panna Agnieszka panu Gąsce, ale zaraz się zmytygowała: — Owszem, chętnie, ale to mi zabierze trochę czasu, muszę wszystko napisać i przepisać, chyba przysięgam pani przez Sadułę.

— Ale pani Kornikowa nie podniosła —

— Podobał się pani? Dla mnie bardzo przystojny. Ale cóż z nim rozmawiać! Przecież nikomu na tym nie zależy, żeby dom był w porządku, jak się zawali, to dostaną mieszkania zastępcze, tak się to nazywa, prawda? A my, proszę pani — zalkała krótko — od ust sobie odejmujemy. Przecież do tego już doszło, że mąż im pożyczka... Dwieście złotych sam wyłożył na ten dach, a z czego?

Pewno z honorariów, które mu płać złodzieje, bronił przed sądem — pomyślała i spojrzała na Kornikową. Czy jej się przesyłało, czy naprawdę z gardła tamtej, gdy mówiła o swoim domu, wydobyło się coś w rodzaju lkania? Ale duża twarz była niewzruszona, tylko jakby o ton czerwienista.

— To ciekawe. Ale widzi pani, państwo wyłożyli za dom, który uważacie za swój, ale jak pani myśli, w imię czego wyłożyli dwieście pięćdziesiąt złotych Saduła, któremu nawet nie leje się na głowę, jak innym? A przecież i on pozyczył blokowi. — Gdzie to te nasze pola bitwy — pomyślała. A głośno dedała: — Wiec cóż ja mogę pani poradzić? Protokół przysięgam, jak przepiszę, ale pani przecież nie była na zebraniu?

— Nie, czekałam na męża w kawiarni. To dla nas bardzo ważne, żeby wszystko było w porządku. I ciężko myśleć, że w naszym ludowym państwie tak mało osób dba o wspólne dobro.

„Czemuż jeszcze nie wychodzi? — myślała sekretarka. — Już chyba wszystko powiedziała, co miała do powiedzenia, więc czego jeszcze? A tu — jak długo może się to jeszcze ciągnąć? Przecież to krótki fragment. A w ten sposób nie właściwie nie słyszałam. Ach nie, właśnie doszedł jej przesliczny fragment:

Oczy jej, to diamenty
Morską napelnione falą...
Zielone, gwiazdowe, przeczyste,
Jak błyskawica ogniste...
Leją się strumieniem, pała,
Odwroć się od nich nie można...

„To mówi ten, no ten, zakochany student...“.

— Wszystko rozumiem — mówiła dalej Kornikowa po chwili milczenia (akurat, pomyślała sekretarka) — ale żeby tak mało dbać o dom, w którym się mieszka. No, niech pani sama pomyśli!

— Uczy się ich, ale to tak od razu nie przychodzi. Ja panią bardzo przepraszam — powiedziała wreszcie, jak sama to oceniła, „grzecznie, ale stanowczo” — nadają teraz bardzo piękną audycję i właśnie słuchałam, kiedy pani weszła, „Złota Czaszka” — i uśmiechnęła się rozrajałając, jak jej się samej wydawało, bo nie lubiła ludzi obrażać „Słowackiego“.

Tamta wstała. (Dzwony zaczynały bić na wieży, konfederaci się schodzą).

— Ach, więc to tak — powiedziała, arogancko odszczekując słowa — i ja pani przeszkodziłam. Już idę, tylko przypominam krótko, żeby pani o żadnym szczególe nie zapomniła. Więc najpierw: rachunek za dach. A ten Szwarc miał wnieść w naturze, jak m. mąż mówił, bo m. papę, woli dać papę, niż te marne trzydzieści złotych. Reszta pieniędzy. Ale widziała pani? Mąż mi powiedział, że trzej nie zgodzili się i wyszli.

— Przypilnuje ich się — powiedziała cierpliwie.

— To byłaby jedna sprawa. A druga: wywołanie śmieci, bo administrator mi mówił, że tam się nał... a „yjk zalega o trzech miesiącach. Ten, co ma balkon.

Wreszcie rozzniewała się.

— Proszę pani, cóż mi pani to wszystko mówi? To już naprawdę nie należy do komitetu. Tego, to już niech administrator sam przypilnuje.

Kornikowa jakby się skurczyła, ale wstała, twarz jej zszarzała i zgasała jak czerwony księżyc, kiedy wzbijając się wyżej traci barwę i zmienia się na srebrny glob. Była udrecona, nieszcześliwa. Pilnowanie własności zabierało jej wszystkie czas i siły: Kłóć ją zrozumieć! Jacy to gorliwi! I cóż za głupi pretekst wymyśliła sekretarka? Słowacki. To dobre w szkole. Udaje, że słucha i czego? Jakiejś czas... ki? Nie pamiętała, co by to było, choć ma się te szkoły. Wszystko, żeby jej się przedzej pozbyć. A ona właśnie nie pójdzie, póki nie powie wszystkiego, co należy, bo inaczej ta idiołka polewy zapomni. Boże, ty widzisz moją mękę i jakimi ludźmi jesteśmy otoczeni!

Sekretarka wstała także i krok za krokiem przeprowadzała ją, niemal wypychając w kierunku drzwi. Nie pozostawało nic innego jak wyjść.

— Do widzenia pani. I przepraszam, że przeszkodziłam w słuchaniu jakże tam... Słowackiego — dodała z miążdzącą ironią. — Tak i mówili, że to bolszewiczka!

Sekretarka drżącymi rękami zakładała szlabę na drzwi wejściowe. Może jeszcze nie koniec! Ale nie, koniec.

„O ja nieszcześliwa, zaniesiecie wy mnie na emmentarz!” I ot, po „Złotej Czaszce“.

— Ale przecież lokatorzy opłacają administratora.

— Ja panią przepraszam, ale to pilne, bardzo pilne. Czy ja mogłabym mieć odpis tego protokołu? Bo jak słyszę pani robiła protokół.

— Nie — odpowiedziała ostro, jak panna Agnieszka panu Gąsce, ale zaraz się zmytygowała: — Owszem, chętnie, ale to mi zabierze trochę czasu, muszę wszystko napisać i przepisać, chyba przysięgam pani przez Sadułę.

— Ale pani Kornikowa nie podniosła —

— Podobał się pani? Dla mnie bardzo przystojny. Ale cóż z nim rozmawiać! Przecież nikomu na tym nie zależy, żeby dom był w porządku, jak się zawali, to dostaną mieszkania zastępcze, tak się to nazywa, prawda? A my, proszę pani — zalkała krótko — od ust sobie odejmujemy. Przecież do tego już doszło, że mąż im pożyczka... Dwieście złotych sam wyłożył na ten dach, a z czego?

Pewno z honorariów, które mu płać złodzieje, bronił przed sądem — pomyślała i spojrzała na Kornikową. Czy jej się przesyłało, czy naprawdę z gardła tamtej, gdy mówiła o swoim domu, wydobyło się coś w rodzaju lkania? Ale duża twarz była niewzruszona, tylko jakby o ton czerwienista.

— To ciekawe. Ale widzi pani, państwo wyłożyli za dom, który uważacie za swój, ale jak pani myśli, w imię czego wyłożyli dwieście pięćdziesiąt złotych Saduła, któremu nawet nie leje się na głowę, jak innym? A przecież i on pozyczył blokowi. — Gdzie to te nasze pola bitwy — pomyślała. A głośno dedała: — Wiec cóż ja mogę pani poradzić? Protokół przysięgam, jak przepiszę, ale pani przecież nie była na zebraniu?

— Nie, czekałam na męża w kawiarni. To dla nas bardzo ważne, żeby wszystko było w porządku. I ciężko myśleć, że w naszym ludowym państwie tak mało osób dba o wspólne dobro.

„Czemuż jeszcze nie wychodzi? — myślała sekretarka. — Już chyba wszystko powiedziała, co miała do powiedzenia, więc czego jeszcze? A tu — jak długo może się to jeszcze ciągnąć? Przecież to krótki fragment. A w ten sposób nie właściwie nie słyszałam. Ach nie, właśnie doszedł jej przesliczny fragment:

Oczy jej, to diamenty
Morską napelnione falą...
Zielone, gwiazdowe, przeczyste,
Jak błyskawica ogniste...
Leją się strumieniem, pała,
Odwroć się od nich nie można...

„To mówi ten, no ten, zakochany student...“.

— Wszystko rozumiem — mówiła dalej Kornikowa po chwili milczenia (akurat, pomyślała sekretarka) — ale żeby tak mało dbać o dom, w którym się mieszka. No, niech pani sama pomyśli!

— Uczy się ich, ale to tak od razu nie przychodzi. Ja panią bardzo przepraszam — powiedziała wreszcie, jak sama to oceniła, „grzecznie, ale stanowczo” — nadają teraz bardzo piękną audycję i właśnie słuchałam, kiedy pani weszła, „Złota Czaszka” — i uśmiechnęła się rozrajałając, jak jej się samej wydawało, bo nie lubiła ludzi obrażać „Słowackiego“.

Tamta wstała. (Dzwony zaczynały bić na wieży, konfederaci się schodzą).

— Ach, więc to tak — powiedziała, arogancko odszczekując słowa — i ja pani przeszkodziłam. Już idę, tylko przypominam krótko, żeby pani o żadnym szczególe nie zapomniła. Więc najpierw: rachunek za dach. A ten Szwarc miał wnieść w naturze, jak m. mąż mówił, bo m. papę, woli dać papę, niż te marne trzydzieści złotych. Reszta pieniędzy. Ale widziała pani? Mąż mi powiedział, że trzej nie zgodzili się i wyszli.

— Przypilnuje ich się — powiedziała cierpliwie.

— To byłaby jedna sprawa. A druga: wywołanie śmieci, bo administrator mi mówił, że tam się nał... a „yjk zalega o trzech miesiącach. Ten, co ma balkon.

Wreszcie rozzniewała się.

— Proszę pani, cóż mi pani to wszystko mówi? To już naprawdę nie należy do komitetu. Tego, to już niech administrator sam przypilnuje.

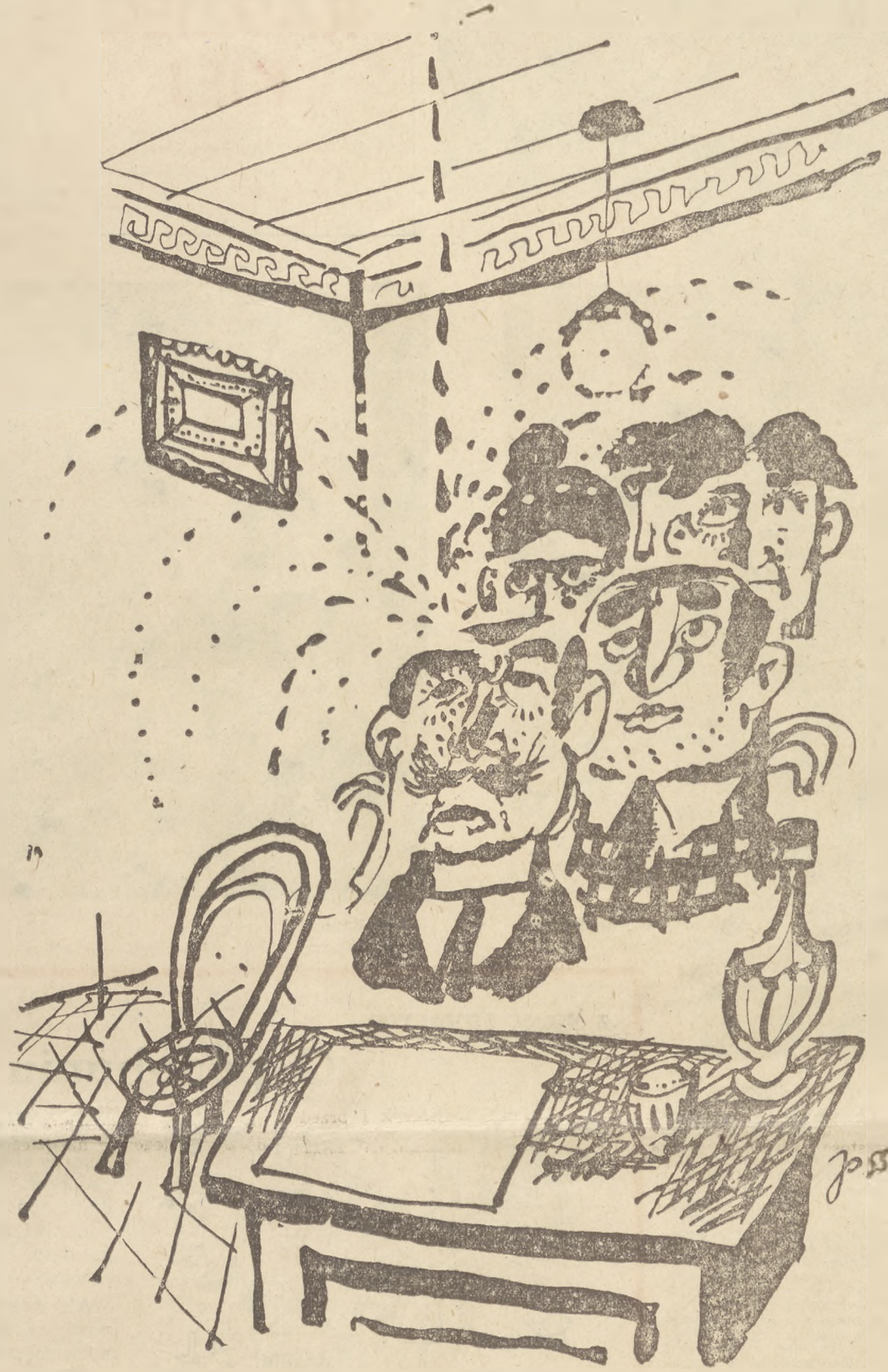
Kornikowa jakby się skurczyła, ale wstała, twarz jej zszarzała i zgasała jak czerwony księżyc, kiedy wzbijając się wyżej traci barwę i zmienia się na srebrny glob. Była udrecona, nieszcześliwa. Pilnowanie własności zabierało jej wszystkie czas i siły: Kłóć ją zrozumieć! Jacy to gorliwi! I cóż za głupi pretekst wymyśliła sekretarka? Słowacki. To dobre w szkole. Udaje, że słucha i czego? Jakiejś czas... ki? Nie pamiętała, co by to było, choć ma się te szkoły. Wszystko, żeby jej się przedzej pozbyć. A ona właśnie nie pójdzie, póki nie powie wszystkiego, co należy, bo inaczej ta idiołka polewy zapomni. Boże, ty widzisz moją mękę i jakimi ludźmi jesteśmy otoczeni!

Sekretarka wstała także i krok za krokiem przeprowadzała ją, niemal wypychając w kierunku drzwi. Nie pozostawało nic innego jak wyjść.

— Do widzenia pani. I przepraszam, że przeszkodziłam w słuchaniu jakże tam... Słowackiego — dodała z miążdzącą ironią. — Tak i mówili, że to bolszewiczka!

Sekretarka drżącymi rękami zakładała szlabę na drzwi wejściowe. Może jeszcze nie koniec! Ale nie, koniec.

„O ja nieszcześliwa, zaniesiecie wy mnie na emmentarz!” I ot, po „Złotej Czaszce“.



Rys. Janusz Stanny



Rys. Janusz Stanny



E. E. Moisiejenko

Na stepie

Z WYSTAWY MŁODEJ PLASTYKI RADZIEC KIEJ



N. A. Siergiejewa

Portret dziewczyny



I. W. Szewandronowa

W wiejskiej bibliotece



I. N. Sapiro

Przed egzaminem

ZA GRANICĄ

ZORGANIZOWANA PRZEZ „SOCIETY FOR THEATRE RESEARCH” konferencja historii teatru, w której wzięło udział 20 państw łącznie ze Związkiem Radzieckim i USA, wysunęła trzy zagadnienia: 1) wkład poszczególnych narodów w zakres sztuki teatralnej; 2) badania, klasyfikacja, rozpowszechnienie osiągnięć; 3) wpływ badań nad przeszłością na teatr współczesny.

Stany Zjednoczone wysunęły projekt, by za pomocą mikrofilmu utrwalic wszystkie dotychczas istniejące w archiwach teksty, zachowane fragmenty dekoracyjne, osiągnięcia reżyserskie i kreacje aktorskie, a następnie materiał ten uścić ośrodkom w różnych krajach, by mogły prowadzić studia porównawcze nad historią teatru. Włochy zaproponowały, by wszystkie instytucje naukowe zajmujące się zagadnieniami teatrologii weszły w skład stworzonego specjalnie Międzynarodowego Związku Instytutów. Przeciwnik „kultury w pudełku” (materiały wielkiego archiwum odfotografowane na mikrofilmie, mogą zmieścić się w niewielkim pudełku) czyli wnioskowi amerykańskiemu popartemu przez Związek Radziecki i Anglię wystąpiła gwałtownie Francja. Francuzów poparł Muzeum im. Puszkina w Moskwie. Ostatecznie postanowienia, jakie podjęto to: powołano do życia Federację Stowarzyszeń Badań Teatralnych z siedzibą w Rzymie. Przyjął prozyle wydawnictwa „Le Maschere”, które oddało do dyspozycji Federacji cały swój aparat „Encyklopedii przedstawień” (dwa pierwsze tomy tej encyklopedii spotkały się z powszechnym uznaniem). Zaakceptować propozycję angielską, by każdy kraj przedstawił wybór najlepszych przedstawień, ze ściśle dokumentacją fotograficzną i uwagami reżyserskimi. Propozycję tę uzupewniła Austria projektem, by najlepsze przedstawienia były filmowane i przechowywane w specjalnej teatralnej. Zadanie to powierzono telewizji. Następnie z entuzjazmem przyjęto apel radziecki, by wydawnictwa zwiększyły ilość wstępów gościnnych między Wschodem i Zachodem szczególnie w zakresie muzyki i baletu. (j).

W ATTELIER FRANCUSKICH nakręca się w bieżącym sezonie letnim 45 filmów, czyli prawie połowę całorocznej produkcji. Aktyrzy, reżyserzy i operatorzy nie mają wakacji i urlopów, co nie znaczy, że by nie podróżowali. Jean Marais wyjechał do Jugosławii, gdzie rozpoczynają się prace nad filmem francusko-włosko-jugosłowiańskim: „Goubbiah”, „Wyspa kozia”. Ugo Bettio w przerwie filmowej noszącej tytuł „Les Possedees”, tragiczną historię trzech kobiet, matki, siostry i córki, które pokochały przybylego na ich niezamieszkałą wyspę włoczące, pozwoliły się zdobyć z później w młodziwym porozumieniu zamordowały go, — to tematyka nad której pogłębieniem psychologicznym i artystycznym dyskutuje zespół aktorów: Ralf Vailone, Madeleine Robinson, Magali Noeli i Dany Carrel. Yves Allégret, założyciel w Alpech, na wysokości 2000 metrów wielki obóz. Gerard Philippe będzie grał rolę nowo

TYGODNIK FRANCUSKI „ARTS SPECTACLES”, piszący o malarstwie, muzyce, literaturze, teatrze, filmie, sztuce, ogarnia Stany Zjednoczone cytuje wypowiedzi Johna Steinbecka zamieszczoną w przedmowie do zbioru rysunków Al Capp. Al Capp, jest najśmieszniejszym i comiesięcznym amerykańskim, twórcą Lil Abnera, rodzinnego bohatera jankieskiej przygody zamieszczanej jednocześnie w kilku dziennikach amerykańskich. Steinbeck skłonny jest przyznać, że comiesięcy nie należy do literatury tr a d y c y j-

n e j. Robi jednak przy tym taką uwagę: „Skąd wiemy, że przyszedł do stanu uznane za literaturę? Współcześni Danteo czytając „Boską Komedie” zdecydowali, że nie jest to literatura. Nie była bowiem napisana po łacinie, lecz po włosku, w języku, którym mówił lud”. Zestawienie Danteo z Al Capem, rysującym niemal wyłącznie kobiety z wydatnym biustem i luksusowe samochody, skłoniło redakcję do podkreślenia, że Steinbeck w ten sposób chciał dać wyraz swoim ironicznym skłonnościom, gdyż poważnie takich rzeczy by nie twierdził. Aby ośmieszyć comiesięczny tygodnik „Arts Spectacles” rozpoczął w układzie comiesięcznym druk książki Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu”.

MALARZ ELPIDIO BERTOLI z MODENY spali publicznie na Piazza Grande dwadzieścia swoich obrazów, pochodzących z okresu metafizycznego, z którym artysta powściął zerwać. Bertoli ma 33 lata i jest członkiem założycielem Akademii tradycyjnego włoskiego portretu. (j)

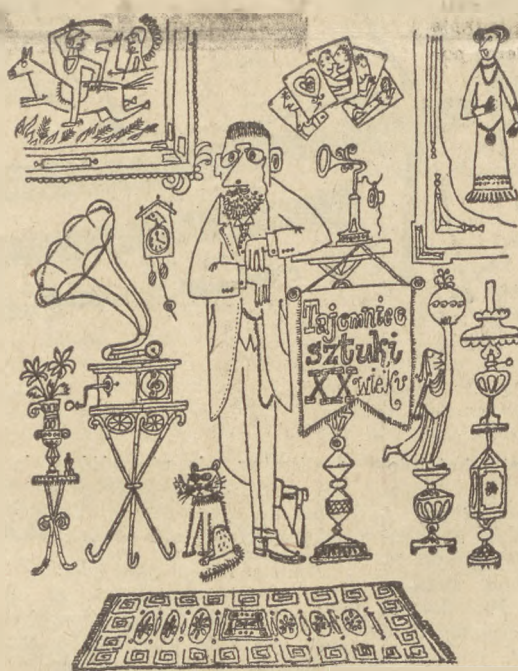
ZWIĄZEK RADZIECKI UPOWAŻNIŁ METRO GOLDWYN MAYER do sfilmowania czterech obrazów Van Gogha znajdujących się w Muzeum im. Puszkina w Moskwie. Obrazy te ukazały się w filmie „Pasja życia”. (j)

VITTORIO DE SICA OTRZYMAŁ ZŁOTY WIEŃCIEC LAURÓWY za rok 1955, nagrodę ufundowaną przez producenta amerykańskiego Davida O. Selznicka „dla tego reżysera nie amerykańskiego, który położył specjalne zasługi na polu wzajemnego zrozumienia się narodów”. (j)

W DUNSKIM ORGANIE „Land og Folk” ukazał się przewodnikowy przez Paula V. Nielsen wywiad z Eonem Naganowskim, przygotowującym do druku biografię Andersena Nexa.

MIEDZYNARODOWY FESTIWAL BALETU zainaugurowany 7 lipca br. w Genewie jest inicjatywą, która zainteresuje niewątpliwie wiele krajów: Na otwarcie zgłosił udział cztery wielkie kompleksy baletowe. Każdy reprezentuje inną „szkołę”. Jugosłowiański Balet Narodowy z Zagrzebia inspirował się na dancowych tradycjach. Dance American Theater z New Yorku pod kierownictwem Johna Butlera jest bardzo typowy dla amerykańskiej sztuki choreograficznej. Przybędzie on do Europy po raz pierwszy. Francję reprezentuje bardzo charakterystyczny Grand Ballet du Marquis de Cuevas z Japonii Azuma Kabuki. Występy odbywają się w warunkach pierwotnych, to znaczy na otwartej przestrzeni, w jednym z najpiękniejszych parków Europy, na brzegu Morza Śródziemnego. (j)

Z MIEJSC STOJĄCYCH



Rys. Lech Zahorski

Nieraz mi się zdarzało, że gdy uzyskałem jakąś dobrą humoreskę i przedstawiłem ją kierownikowi pisma do akceptacji, redaktorzy moi po zakończeniu lektury krzywiąc się ucinali dyskusję: — Ja się nie śmieję.

Takiego oświadczenia nie mogłem już obalić najdoskonalszą argumentacją. Do ich zmysłu humoru nie docierały bodźce zawarte w przedłożonym felietonie. Redaktor się nie śmiał i kropka.

Bardzo często spotykam się z apodyktycznymi sądami o literaturze. Irytują mnie one i dziwią. Lecz gdy się zastanawiam, widzę ich społeczne źródła.

Revolucja odrzuciła i zdeprecjonowała starą filozofię, dawny system społeczny, dotychczasowe wierzenia i obyczaje. Każdego z nas uczyniła jeden tylko lub dziesięć a może nawet wszystkie sektory.

Każdy obywatel począł więc sądzić i oceniać. A literatura przecież jest służąca narodowi. Wielu redaktorów, wyposażonych w pokaźne organa słuchu, jeło się przysłuchiwać orzeczeniom t. zw. „prostych ludzi”. Niektórzy, leńni, stworzyli sobie sami tego „prostego człowieka”.

Muszę się przyznać, że ja osobiście nie znoszę „prostych ludzi”. Są oni reliktem starego i nie ma się co z nimi cackać. „Prosty człowiek” w naszych warunkach, to ten, któremu się nie chce uczyć, który nie lubi czytać, który nie ma ochoty rozwijać swojej świadomości. „Trybuna

O podobaniu się

Ludu” zwróciła się do mnie kiedyś z ankietyzującym pytaniem: jako książka dokonała przełomu w moim życiu? Pytanie to obliczone było na „prostego człowieka”. Ponieważ władza ludowa umożliwiła mi zdobycie wykształcenia, odpowiedziałem negatywnie: tylko wtedy książka może dokonać przełomu, jeżeli ją jedyną przeczyta człowiek w swoim życiu.

Ale wracajmy do rzeczy. W kategorycznym wygłoszeniu sądów literackich widzę wielkie niebezpieczeństwo. Wszystko już zostało porachowane i wycenione, można teraz zacząć czytać książki nie tylko po to, by sprawdzić, czy schlebiają one naszemu samozadowoleniu, czy też autor potrzebuje pomocy. Warto przypominać stale, że jeżeli się nam coś nie podoba, to jeszcze nie koniec świata, bo żyje obok w naszym kraju 27.000.000 współrodaków różnej konstrukcji psychicznej i różnych upodobań. Poza tym źródeł „nie podobania się” dobrze jest czasem szukać nie w niedołęstwie autora, lecz w samym sobie. Zaryzykowałbym nawet śmiało do szaleństwa tezę: ludzie, u których nad łóżkiem wisi nany obraz przedstawiający św. Magdalene spełniającą pokutę, oraz landszafty z jeleniami i myśliwymi, ludzie, którzy w tajemnie pisanych poematach używają takich określeń jak „słodczy wiośnianego poranka” lub „kwiecisty kobierzec pól”, ludzie, którzy na czajnik z herbatą nakładają wzorzystą włóczkową szlafmycę a mieszkanie swoje zdobia makatkami, bdiubdziulkami a nawet kanarkami, tacy ludzie, powtarzam, winni swoje gusta literackie wyrażać jak najogólniej. Lecz, niestety, tacy gardlują najgłośniej.

Każdy piszący z prawdziwego zdarzenia ma swoich czytelników. Widzę kosmos literatury jako regularne koło. W środku tego koła stoją piszący, od nich biegną ku obwodowi promienie. W każdym takim sektorze mieszczą się odbiorcy danego literata. Ludzie, których typ psychofizyczny on uogólnia i którym on służy. W zależności od skali talentu literat zagarnia jeden tylko lub dziesięć a może nawet wszystkie sektory.

Kolegów krytyków proszę o odryśowanie tego schematu. Może się jeszcze przydać. Poza tym proponuję turniej dla naszych zoilów. Niech wydobędą swoje wiersze i prozę (przecież się coś znajdzie, he?) a my się zabawimy w ocenę. Krytyk ma prawo nie podobać napisaniu wiersza lub opowiadania. Ale jeśli takowe napisze, z samej materii i formy poznamy jego upodobania, uznamy, czy ma prawo sądzić bliźnich.

Przepraszam, jeśli kogo uraziłem. Nie pogńiewam się, gdy ktoś powie: — ten felieton mi się nie podoba. Ja się nie śmieję. —

Tadeusz Konwicki

Książki

WIKTOR HUGO „BUG — JARGALA”, przełożył Zygmunt Glinka, PIW 1955, cena zł 6,65.

Tekst „Bug — Jargala”, który otrzymują czytelnicy w polskim przekładzie jest przerobioną i w dużej części na nowo napisaną wersją powieści, pochodzącą z roku 1825. Jej pierwsza redakcja powstała w czasie dwóch tygodni, jako wynik młodzieńczego zakładu szesnastoletniego autora. Akcja jej osnuta jest na tle wypadków historycznych, powstania na San Domingo z 22 sierpnia 1791 roku. Wyępują tu często pod własnym imieniem bohaterowie tych walk, przy czym ortografia ich nazwisk nie zawsze jest bez błędów. Młody autor popełnił także inne omyłki rzeczowe, uprosił różne kwestie. Przy wszystkich jednak brakach, przy całej młodzieńczej naiwności i sentymentalizmie jest powieść Hugo pierwszą w literaturze powszechnej, w której autor opowiedział się za sprawą wolności ludów kolorowych. Warto przy tym zaznaczyć, że Hugo był w tym okresie monarchistą i przeciwnikiem rewolucji, stosunek więc do upośledzonych podyktował mu instynkt moralny, nie zaś dojrzałość ideologiczna.

„Bug Jargala” — pisał Z. Bieńkowski w postawie — nie należy do dojrzałych artystycznie dzieł pisarza, to pewne. Nie można tej powieści zestawiać z żadnym z późniejszych utworów powieściowych Hugo. Mimo to czytelnikowi „Katedry Marii Panny w Paryżu” „Bug Jargala” ukaże nie tylko drogę, jaką przebył pisarz, ale także narodziny upodobań obrazowych i alegorycznych. W Bug-Jargalu spotykamy już zarodki owego pogłębionego w dalszej twórczości pisarza zamilowania do kontrastów, znajdujemy tam także jedną z podstaw pisarskiej wielkości W. Hugo — bogactwo i krystaliczną precyzję języka”.

BEZORG ALAWI „JEJ OCZY”. Tłumaczył z perskiego dr Józef Bielawski i dr Franciszek Machalski. Czytelnik 1955, cena zł 13,20.

Pisarz perski Bezorg Alawi urodził się w roku 1904. W latach jego dzieciństwa i młodości lud irański toczył zaciete walki o rządy konstytucyjne i swobody demokratyczne. Najpierw z dynastią Kadżarów, potem z szachem Rezą Pahlawi. Alawi studiował w Berlinie i tu też powstały jego pierwsze prace literackie: przekład „Dziewicy Orleańskiej” Fryderyka Schillera i „Irańskiej epopei narodowej” Teodora Noeldekego. Po powrocie do kraju zostaje Alawi profesorem w szkole przemysłowej w Teheranie i rozwija szeroką działalność jako pisarz, tłumacz, dziennikarz udzielając się jednocześnie pracy społecznej. Jego debiutem prozatorskim jest zbiór nowel „Walizja” (1935 rok). Następnie w latach 1941 i 42 ukazują się kolejno tomy „Strzępy wieziennych papierów” i „Pięćdziesięciu trzech skazanych”, które powstały w okresie pięcioletniego pobytu autora w więzieniu, do którego został uwięziony za udział w ruchu demokratycznym. W skład omawianego tomu weszła dłuższa powieść „Jej oczy”, oraz „Listy i inne opowiadania”. Malarz Makan — wódz wolnościowy, konspiracyjny ruch w Iranie, student-rewolucjonista Chudad i jego narzeczona Mihri — to nowe postacie współczesnej powieści perskiej. W utworach zawartych w tym tomie daje autor przekrój całego niemal społeczeństwa irańskiego: ciętnym ostrzem satyry uderza w skorumpowany świat arystokracji finansowej, z wielkim zaś uznaniem i miłością pisze o bohaterstwie i poświęceniu prostych ludzi.

„Książki Bezorga Alawiego przejmują do głębi, przykuwają do siebie. Raz tchną głębokim tragizmem, raz bawią niewymuszonym humorem. To chyba najlepszy dowód talentu pisarza, którego imię dociera dziś do najdalszych zakątków kuli ziemskiej” — kończy swoją przedmową Franciszek Machalski.

JAN KOTT „JAK WAM SIĘ PODoba” PIW 1955, cena zł 8,10.

Książka ta jest zbiorem artykułów i recenzji teatralnych pisanych przez autora na przestrzeni powojennych dziesięciu lat. Są tu recenzje z przedstawień teatrów łódzkich, wrocławskich i warszawskich. I choć — jak pisze sam autor — nie wszystkich błędów broniliby dzisiaj, zasadniczy kierunek uderzenia uważa za słuszny. Oddając książkę w ręce czytelników zastrzega, że jest ona „tylko drobnym fragmentem wielkiej walki o nowy teatr w ciągu dziesięciolecia. Nie jest książką uczoną, jest zbiorem felietonów”. Liczni czytelnicy dawnych i ostatnich felietonów Kotta drukowanych w „Przeglądzie Kulturalnym” sięgną z radością po ten tomik interesujących, błyskotliwych ciętych, pełnych dowcipu i ironii felietonów nawiązujących zgodnie z intencjami autora do najlepszych tradycji tego gatunku.

K. Nast.

Redaguje Zespół, Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa”, Kolportaż PPK „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4 60 zł, kwart. 13 80 zł, półroc. 27 60 zł, rocznie 55 20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włókiendrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5

Zam. 1851. B-6-11311